

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ

A painting of a fantastical landscape. In the foreground, a dark, rocky waterfall cascades into a vibrant green sea. The sky is a mix of warm, glowing colors like orange, yellow, and pink, with several white, saucer-shaped flying objects floating in it. The overall style is expressive and painterly.

# ZAKAZANE SZLAKI

## **Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych**

Okładka przedstawia górski, zamglony krajobraz, kolory pastelowe. Pierwszy plan utrzymany w odcieniach ciemnego turkusu i miedzi. Zajmują go nierówne skały, wznoszące się przy lewej krawędzi grafik niemal do połowy jej wysokości. Spomiędzy nich wypływa rzeka, której nurt przy prawym dolnym narożniku wpada w wodospad. Po prawej stronie wystaje z wody kolejna skała.

W dalszym planie, po prawej stronie kadru, zajmując dwie trzecie jego szerokości, wznosi się ogromny twór górski. Jego ściany już u spodu są bardzo strome, by ostatecznie stać się niemal pionowymi. Spowijające go opary nadają mu barwę z pogranicza siwej bieli, bladej, pastelowej czerwieni i mocno wyblakłego różu. Całość niknie za górną krawędzią.

Zza głazów z pierwszego planu, unosząc się nad rzeką na stałej wysokości, wylatują jeden za drugim cztery białe, elipsoidalne obiekty, budzące skojarzenia ze sterowcami. Pierwszy z nich zachowuje największy odstęp, kolejne przerwy między obiektami są coraz mniejsze.

Pomimo obecności wodospadu, atmosfera sprawia wrażenie spokojnej, mocno onirycznej i lekko tajemniczej.

W górnej części okładki znajduje się mały tekst „Antologia opowiadań”. Na dole umieszczono duży napis „Zakazane szlaki”.

**Grafika:** Adam Sondel

**Korekta barw:** Sandra Jastrzębska

**Tekst audiodeskrypcji:** Marcin Opolski

**Konsultacja ekspercka audiodeskrypcji:** Magdalena Rutkowska

**Zakazane szlaki**

Tom 6 serii „Zapomniane Sny”.

**Koordinacja projektu:**

Marcin Opolski

**Wybór tekstów do antologii:**

Marcin Opolski

**Grafika na okładce:**

Adam Sondel

**Korekta barw:**

Sandra Jastrzębska aka Sandy Claws

**Ilustracja dodatkowa:**

Mikołaj Radecki

**Autorzy opowiadań:**

Graham Masterton (przekład: Weronika Mamuna), Adrianna Filimonowicz, Agnieszka Osikowicz-Chwaja, Allister Nelson (przekład: Emilian Wojnowski), Anna Sikorska, Emilian Wojnowski, Joshua C. Frank (przekład: Emilian Wojnowski), Jakub Rewiuk, Krzysztof Rewiuk, Magdalena Świerczek-Gryboś, Marcin Opolski, Marek Kolenda, Marta Magdalena Lasik, Michał Paszkowski, Rafał Łoboda, Sylwester Gdela

**Tłumaczenie opowiadań anglojęzycznego na język polski:** Weronika Mamuna, Emilian Wojnowski

**Tekst audiodeskrypcji okładki i grafiki dodatkowej:** Marcin Opolski

**Konsultacja ekspercka audiodeskrypcji:** Magdalena Rutkowska

**Sugestie korektorskie:**

Aleksandra Cebo, Karolina Przybył, Marcin Opolski, Natalia Kubicius, Sylwester Gdela

**Strona projektu (stan na 05.2024):** [www.zapomnianesny.pl](http://www.zapomnianesny.pl)

**E-mail kontaktowy (stan na 05.2024):** [info@zapomnianesny.pl](mailto:info@zapomnianesny.pl)

**ISBN:**

Epub: 978-83-67546-08-9

Mobi: 978-83-67546-09-6

PDF: 978-83-67546-09-6

Tychy 2024

# Zakazane szlaki

Antologia opowiadań

## PROJEKT CHARYTATYWNY

Prosimy, wesprzyj cel antologii :-)

### O CO CHODZI?

Ten e-book jest dostępny na zasadach **CHARITYWARE**.

Możesz go pobrać za darmo, ale prosimy Cię o przejście na stronę projektu Bezpieczny Kazbek (<https://bezpiecznykazbek.org>) i wpłacenie na jego rzecz dobrowolnej darowizny (odpowiedni przycisk w górnym menu strony stowarzyszenia). Inicjatywa ta zajmuje się ratownictwem w górskim regionie Kazbeku oraz prowadzeniem szkoleń z akcji ratowniczych w trudnych warunkach.

Od Ciebie zależy, czy to zrobisz i kiedy, ale ufamy, że idea zrobienia czegoś dobrego w zamian za książkę jest dla Ciebie spoko :-)

Zapomniane Sny nie są powiązane z wspomnianym projektem. Mimo to chcemy go wesprzeć, bo robi coś fajnego i ważnego.

W poszczególnych częściach cyklu Zapomniane Sny staramy się zachęcać do wspierania różnych organizacji pomocowych. Planujemy też tworzyć w przyszłości kolejne antologie.

PS. Oprócz zbiorów opowiadań tworzymy też serię komiksową, a nasze działania możesz śledzić na stronie naszego projektu (<https://www.zapomnienesny.pl>) oraz na profilu FB (<https://fb.com/ZapomnianeSny/>).

### PODZIĘKOWANIA DLA:

Vbiz.pl – za przestrzeń hostingową.

## Spis treści

Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych.....	2
PROJEKT CHARYTATYWNY.....	4
Audiodeskrypcja grafiki uzupełniającej.....	7
Ostatni wspólny spacer.....	8
Gangkhar Puensum.....	13
Łatając czas.....	19
Dolina.....	23
Gwiezdne Lustro.....	28
Podłóżko.....	36
Wola turystów (Morskie Oko po zmroku).....	56
Puste rękawy.....	58
Cegła pod twarzą Williama.....	60
Superpozycja sierpniowego snu.....	65
Notatka_glosowa_027.....	72
Wszech.....	77
Równina Szinear.....	83
Tylko szal tiulowy na sukni pajęczej.....	88
Wypiętrzenie.....	93
W dół.....	98

ANTOLOGIA OPowiadań

# ZAKAZANE SZLAKI



## **Audiodeskrypcja grafiki uzupełniającej**

Ilustracja utrzymana w mrocznych barwach, przedstawiająca mapę topograficzną górzystego terenu. Szarość, miejscami wpadająca w czerń, wywołuje skojarzenie ze słabym oświetleniem. Część obszarów jest wyraźnie ciemniejsza, co może być efektem padającego cienia lub zaplamienia.

Na całość nałożono żółte, przerywane linie, mogące oznaczać granice poszczególnych obszarów lub szlaki. W kilku obszarach znajdują się przy nich napisy złożone z mieszanki liter i cyfr, przywodzących na myśl szyfr. Parę punktów oznaczono ledwo zarysowanymi, niebieskimi pinezkami.

W paru miejscach naniesiono dodatkowe, zlewające się z tłem nazwy i oznaczenia liczbowe. Te ostatnie sugerują oznaczenia wysokości.

Uważny obserwator, przy długim analizowaniu detali, może wyłowić wśród niektórych linii topograficznych kontury elementów twarzy, ukryte w szkicu mapy.

W górnej części okładki znajduje się mały tekst „Antologia opowiadań”. Na dole umieszczono duży napis „Zakazane szlaki”.

**Grafika:** Mikołaj Radecki

**Tekst audiodeskrypcji:** Marcin Opolski

**Konsultacja ekspercka audiodeskrypcji:** Magdalena Rutkowska

# Ostatni wspólny spacer

Adrianna Filimonowicz

---

Patrzyła z przełęczą, jak pokonuje ostatni odcinek grani. Szedł pochylony, zapierając się okutym styliskiem czekana w śniegu. Domyślała się, że mimowolnie wstrzymuje oddech, przytłoczony świadomością bliskiego triumfu. Szczyt go zaskoczył. Nagle po prostu wyżej się nie dało.

Łowca stanął, rozejrzał się. Spowite zmęczeniem myśli powoli kształtowały się w ten jeden, oczywisty przecież wniosek... Nagle mężczyzna wyrzucił ręce w górę i ryknął z całym sił. Przepaściste ściany pobliskich gór odpowiedziały mu pozbawionym wyrazu pomrukiem, a zdobyty szczyt trwał cierpliwie bez drgnienia, znosząc tę przedwczesną radość. Przecież to droga w dół najczęściej zabierała życie. Góry karały za pokonanie szlaku, nie za wkroczenie nań.

Aniz obróciła się i ruszyła ku stłoczonym w dolinie wsiom. Przecięła opadający z przełęczą, łagodny szlak i pognała stromym żlebem. Jej nagie, zniekształcone stopy bez trudu znajdowały oparcie na wąskich, skalnych krawędziach, między płatami śniegu i wśród kruszyny. Wzrok bezbłędnie rozpoznawał ruchome kamienie i skały podmyte przez deszcze. Zatrzymała się w połowie drogi, przy kaskadzie bijącej spod czapy śniegu i sopli. Pochyliła się, pomarszczone dłonie oparła na kamieniach. Zanurzyła usta w wodzie i nagle gdzieś dalej strome ściany zahuczały groźnie. Skalny obryw uwolnił niewielką pyłówkę, która przesłoniła widok, ale Aniz była spokojna. Ostrzegła łowcę przed tym miejscem i wiedziała, że – pomny tragedii na innych szlakach, które wytyczyła – nie wpadnie w tę pułapkę. Otarła usta, wyprostowała się i ruszyła dalej.



\*\*\*

Główną izbę Wielkiego Dworu strojono w pocie czoła. Wprawdzie ktoś przybyły z niniejszych stron mógłby powiedzieć, że to żaden dwór, a i rozmiarem nie przerastał on nawet lokalnego zajazdu, ale nadrabiał wagą swej roli. Tu wyświęcano Przewodników – młodych ludzi, których przodkowie wiedli do wielkości. Mądrych, pracowitych i wciąż sięgających po więcej. Po coś niedostępnego dla innych. Odkąd Aniz skończyła sześć lat, tym czymś były góry.

Kaszir oderwała się od mocowania wieńca z żywokostu i spojrzała z troską na źródło tego szalonego pędu – siedemnastoletnią dziewczynę, posiwiłą, o twarzy poznaczonej zmarszczkami jak u staruszki. Gdy Aniz miała pięć lat, wyglądała już jak nastolatka. Wtedy jeszcze nosiła buty i miała gładkie dłonie. Potem jednego poranka wyszła z chaty i zawędrowała na bezimienną iglicę rzucającą cień na Przełęcz Przewodników. I choć nikt nie mówił tego głośno, rzuciła tym samym cień na serca młodych. Nieświadomie. Sama, mimo błagań matki, po prostu spacerowała dalej. Przestała nosić buty, co przypłaciła pewnej zimy utratą palców. Tym, którzy ruszali podbijać zdobyte przez nią szczyty, powtarzała: „Czeka was tam śmierć” i nigdy się nie myliła.

Czyżby tym razem było inaczej? Kaszir zeskoczyła z taboretu i zbliżyła się do córki. Wieści przyniesione przez Aniz rozpały wszystkich. „Wszedł. Wraca. Minął najtrudniejszy odcinek”. Tyle słów wystarczyło, by rozpoczęto gorączkowe przygotowania. Ona zaś usiadła w kącie i obojętnie wpatrywała się w swoje zrogowaciałe, zdeformowane stopy. Kaszir przechodził dreszcz, gdy na nie patrzyła. Przypominały zaniedbane kopyta.

Nie zdążyła oderwać od nich wzroku, spytać, czemu córka nie chce pomóc w przygotowaniach. Do Dworu wpadł jeden z chłopców wypatrujących znad jeziora powrotu łowcy. Nie słuchała, co mówił. Pośliźnięcie na kamieniach, obryw, lawina, wycieńczenie...? Nie chciała wiedzieć. Jej uwagę przykuwała tylko Aniz. Obojętna Aniz, zмирzająca do drzwi między skamieniałymi z rozpaczony ludźmi.

Nigdy nie płakała, gdy ginęli, choć przecież latami żyła obok nich. Tego ostatniego nazywała nawet przyjacielem. Kochała go, jak niemalże wszyscy we wsi. Może nawet tak samo jak oni chciała uwierzyć w jego przyszłą wielkość, tylko że nie mogła. Kaszir słyszała jej płacz w tę noc, gdy opowiedział o swoich zamiarach i prosił o rady.

– Nie idź tą drogą. Moje szlaki są przeklęte – prosiła. – Są tylko dla mnie, innym wzbronione.

Ale poszedł, więc straciła dla niego współczucie.

Kiedy Kaszir, ochrypla od szlochu, wróciła do chaty, Aniz spała. Rozkopała pościel i leżała na boku z podkulonymi rękami i nogami. Kobieta pogłaskała córkę po zszarzałych włosach. Łzy na powrót wezbrały w jej oczach. Wiedziała, że musi to zakończyć, zanim czara żalu się przeleje i wznieci czystą nienawiść. Ludzie długo odwracali wrogie spojrzenia i zamieniali krzyk w szept. Ciężar tej śmierci był jednak zbyt wielki.

\*\*\*

Aniz zawsze budziła się przed matką, by szybko wykonać swoje obowiązki i o poranku ruszyć w góry. Tym razem jednak Kaszir na nią czekała. Twarz miała poszarzałą ze zmęczenia, oczy opuchnięte od płaczu.

- Zostaw – rzuciła, gdy córka sięgnęła po balię. – Pójdziemy najpierw na spacer.
- Na spacer? Ty ze mną?
- Tak jak kiedyś. Tylko tym razem w góry.
- Moje szlaki są...
- Twoje. Wiem. Takie pozostaną. Pójdziemy moim. Do Szczelinek.
- Nigdy nie chodziłaś do Szczelinek.
- Chodziłam... kiedyś. Wszystko ci wyjaśnię.

Idąc z wolna ramię w ramię, wyglądały jak siostry. Niemłode już, ale wciąż prężne. Ledwo jednak dotarły do skraju Małej Hali, gdzie rozpoczynał się labirynt jaskinek i rozpadlin, Aniz ruszyła przodem i zaczęła wspierać matkę przy pokonywaniu przeszkód. Chciała poprowadzić ją skrajem szerokiego pęknięcia, ale Kaszir wskazała wyżej położone jaskinie.

- Do Szarych Ślepi – wydyszała.

Serce rwało jej się z piersi. Ciepły, cichy świt budził wspomnienia. Kobiecie zdawało się, że zaraz znów usłyszy w nim odległe kwilenie niemowlęcia. Chwyliła Aniz mocniej za rękę, zachwiała się. Córka zdecydowanym ruchem podprowadziła ją do głazu, kazała jej usiąść, nabrała w dłonie wody z pobliskiego strumyka i podstawiła matce do ust.

- Mów – rzuciła oschle, gdy ta upiła łyk.

Kaszir zbierała przez chwilę siły.

- Wiesz, że nie byłaś moją pierwszą Aniz? Pierwsza Aniz żyła tylko od nowiu do pełni
- wyrzuciła z siebie gwałtownie, na jednym oddechu. – Jej ojciec umarł, gdy byłam w ciąży

ży, rodziców straciłam wcześniej... Byłam tak bardzo sama... Po tamtej nocy nie wstał dla mnie dzień. Po prostu była ciemność i ciemność. Nie wiem, jak długo.

Aniz, wyraźnie zakłopotana, sięgnęła ponownie po wodę, ale matka nie chciała jej przyjąć. Przez chwilę obie patrzyły na krople przeciekające powoli między ściśniętymi palcami. Gdy ostatnia rozprysła się na kamieniach, Kaszir uniosła gwałtownie głowę i otarła łzy.

– Chodźmy... Podejdźmy do jaskiń. Jestem ci winna całą tę historię.

Aniz ujęła ją za ramię. Dotarły do ukośnych otworów wznających się w szarą skałę. Przypominały wielkie, zmrużone ślepia. Kaszir usiadła na progu jednego z nich. Krok dalej dno jaskini opadało gwałtownie ku poznaczonemu plamami światła rumowisku głazów.

– Tu się spotkałyśmy – podjęła. – Tu kazała mi przyjść szeptucha. Powiedziała, że nie zwróci mi dziecka, ale pomoże ukoić ból. Kazała znaleźć młodą kozicę uwięzioną w Szczelinkach. I znalazłam.

Gdy patrzyła na dno jaskini, znów czuła zdumienie. Pamiętała, jak z niedowierzaniem głaskała płową sierść wycieńczonego kozłątka, przekonana, że to złuda i stworzenie zaraz zniknie. Ono jednak trwało. Z trwogą obnażyła pierś, jak kazała jej szeptucha. Czuła, że robi coś złego, wręcz obrazoburczego, ale pragnienie, by poczuć znów pod palcami ciepło dziecięcego ciała, było zbyt silne. Niewprawnym ruchem przysunęła kozłę do siebie.

Ledwo posmakowało kropli mleka, pokryta szczecina skóra spadła z niego, a racice potoczyły się ze stukiem między kamienie. Dziewczynka była śliczna. Idealna. Taka, jaka Aniz nie zdążyła być. Do świtu Kaszir tuliła ją i całowała, wpatrzona w błyszczące oczka. Potem, jak kazała szeptucha, owinęła na powrót niemowlę w skóry, ułożyła racice obok niego i odeszła. Dzień miał przywrócić kozicy jej pierwotną formę.

– Chodziłam tam noc w noc, a za dnia układałam dla niej piosenki i bajki. Za każdym razem z coraz większym bólem opuszczałam to moje-nie-moje dziecko. Aż pewnej nocy...

– Kaszir wstała. – Pomóż mi.

Korzystając ze wsparcia córki, zsunęła się na dno i podeszła do pryzmy drobniejszych kamieni, pokrytych kożuchem mchu.

– Nie mogłam tak dłużej. Tej nocy, gdy tylko zrzuciłaś skórę, ukryłam ją i racice. Przynosiłam kamieniami i próbowałam zapomnieć. O świcie otuliłam cię chustą i odeszłam jak zwykle. Wróciłam za dnia...

Aniz skoczyła naprzód, jak spłoszone zwierzę. Niemalże po plecach matki dopadła do rumowiska i z furią poczęła przerzucać skalne odłamki. Kaszir milczała. Łoskot zagłuszał myśli i wspomnienie dziecięcego płaczu. I nagle ścichł.

Aniz wyprostowała się. Z dłoni zwisała jej skóra kozłęcia. Mrozy i wilgoć nie zdołały jej pożreć, może tylko ujęły jej głębi koloru. Kaszir nie miała odwagi spojrzeć córce w oczy. Słyszała jej gwałtowny oddech, tyle wystarczyło.

– Wiem... Przepraszam. Skrzywdziłam cię. Zabrałam ci całe życie... Kiedy zaczęłaś tak błyskawicznie rosnać, pojęłam, kim wciąż jesteś.

– Zabrałaś przede wszystkim życie tym, którzy próbowali za mną iść! Czy którykolwiek z nich świadomie mierzyłby się we wspinaczce z kozicą?!

Aniz krzyczała. Zawsze obojętna na śmierć wędrującą jej szlakiem, tym razem krzyczała. A Kaszir mogła tylko pokręcić głową.

– Wstyd mi, że inni ponosili karę za mój grzech – wyszeptwała.

– Więc czemu dopiero teraz...

– Teraz chcę cię ukarać. To ostatnia chwila, by to skończyć. Wybacz mi. Uwięziłam cię, bo byłaś całym moim światem.

Aniz rozejrzała się czujnie wokół.

– Racice są tam, w zagłębieniu.

Sięgnęła po nie z wahaniem.

– Idź już. Nie oglądaj tego. – Dłonie Aniz drżały. – Idź już. Kochałam cię.

– Wybaczysz mi?

– Ja tak, ale to bez znaczenia.

Kaszir po raz ostatni zbliżyła się do swojej córki-nie-córki. Chciała ją objąć, ale jakiś impuls rzucił ją na kolana, kazał przywrzeć do tych zniekształconych, przypominających kopyta stóp.

– To jedyne, co ma dla mnie znaczenie. Pójdę. Teraz góry będą tak twoje, jak tylko zechcesz.

\*\*\*

Szła ku wsi z poczuciem, że wraca ze szlaku, którego nie powinna była przemierzyć. U wylotu doliny ujrzała sąsiadów, łowców z okolicznych osad, kobiety, które wróciły z czuwania. W ich dłoniach bujały się motyki, siekiery, sierpy. Nie zwolniła, nie próbowała zawrócić.

# Gangkhar Puensum

Krzysztof Rewiuk

---

Chorażewki modlitewne furkoczą na wietrze. Żółta, zielona, czerwona, biała, niebieska. I od nowa, w tej samej symbolicznej kolejności: ziemia, woda, ogień, powietrze i przestrzeń. Nanizane na sznurek, miotają się, jak wyrwane na chwilę z górskiego potoku ryby, oszalałe pragnieniem powrotu do kipiącej chaosem toni.

– Długo jeszcze? – Moritz wychyla głowę ze swojego namiotu i wskazuje na tragarzy skupionych wokół odprawiającego obrzęd lamy.

Wzruszam ramionami.

– Póki nie skończą. Zanoszą modły o szczęśliwy powrót dla wszystkich. Dla ciebie też.

– Co za ciemnota. – Wypełza na zewnątrz, prostuje się, przykładając dłoń do czoła i z niepokojem obserwuje sunące nad szczytami chmury. Jego profil odcina się zdecydowanym kontrastem na zboczu Gangkhar Puensum, jakby już był jej zdobywcą. Świetnie to wychodzi na fotografiach. Wreszcie Moritz wzdycha i siada na ziemi, obok mnie. – Pogoda się zmienia. Powinniśmy być już w drodze.

Mruczenie Szerpów przybiera na sile.

– Wspinaczka to nie tylko góra – tłumaczę spokojnie. – Ale też pogoda, ciągłe kłótnie z tragarzami, problemy ze sprzętem, sraczka i odmrożenia. I bardzo dużo czekania.

– Chrzanisz, Andrea – odpowiada. – Dwadzieścia lat chodzę po Himalajach i nigdy nie miałem sraczki. – Wstaje znowu i kopie Bogu ducha winny kamyk. – Gdzie jest Chen?

Wskazuję na modlitewny krąg. Wtopiona między miejscowych drobna postać w kolorowej czapce jakby tylko na to czekała. Macha do nas wesoło, podnosi się i maszeruje w kierunku namiotów, poklepując po ramionach mijanych tragarzy.

Moritz przybiera pogardliwy wyraz twarzy. Chen staje przed nim, zadziera głowę i pyta, tym swoim piskliwym głosem:

– Co niegotowi? Szerpowie narzekają, że długie czekanie. Pogoda będzie zmieniona.

\*\*\*

Gangkhar Puensum w miejscowym języku znaczy „biały szczyt trzech duchowych braci”. Kolor się zgadza, reszta ni cholerę. Owszem, jest nas troje, ale co do odgrywania rodzeństwa, gdyby ktoś chciał nakręcić remake „Bliźniaków” ze Schwarzeneggerem i De Vito, taki uwzględniający współczesne wymogi, to trudno byłoby znaleźć lepszych kandydatów niż Moritz i Chen. Zwalisty, czarnoskóry, pół-Żyd, pół-Samoaniec z Brooklynu i maleńki Azjata, pomimo serii operacji oraz terapii hormonalnej zachowujący kobiecą delikatność. I na dokładkę ja – ja, którą, po ujawnieniu składu ekspedycji, uznano w internetowych komentarzach za niepodobną w ogóle do nikogo.

Suniemy jednak w górę, uczepieni jednej liny, jak te chorągiewki z obozowiska: Moritz to ogień, Chen to woda. Ja chyba powietrze, bo przecież nie ziemia.

Co się zaś tyczy wymiaru duchowego naszej wyprawy – gdybyśmy wierzyli w duchy, w ogóle nie powinno nas tutaj być.

\*\*\*

– Myślisz, że będą kłopoty? – pyta Moritz. Lodowe igiełki jeżą się na jego brwiach, wąsach i brodzie. Wygląda jak arlekin w negatywie. Albo trochę jak ja. Wyciągam aparat i cykam zdjęcie.

– Zawsze są.

– W sensie, że z tragarzami... – precyzuje.

– Przecież mówię. Zawsze są. – Uśmiecham się krzywo.

– Ale nie chodzi o pieniądze, tylko o te przesady. Wiesz, święta góra, nigdy niezdobyta, jakieś wrota na szczycie, jakieś duchy...

– Tragarzy dobierali równie starannie, jak nas. To jest zbyt poważna wyprawa, żeby się miało nie udać. Chen też za nich ręczy, prawda?

Mały Chińczyk skwapliwie kiwa głową.

– Zdjęcia dla nich były pokazane. Od satelity. Na zdjęciach żadna brama, żadne przejście do innego świata. Sama zwykła góra.

Tyle, że władze Bhutanu uważają inaczej. Dlatego Gangkhar Puensum pozostaje najwyższą niezdobytą górą Ziemi. Byłoby tak jeszcze przez długie lata, gdyby Chińczycy nie uznali, że w ramach wymuszonego ekonomicznie zbliżenia z Zachodem, warto zorganizować propagandową międzynarodową wyprawę od strony Tybetu. Wyprawę, której byliśmy ściśle wyselekcjonowanymi uczestnikami.

\*\*\*

Ściśle wyselekcjonowany czarnoskóry Żyd obraca się do mnie, ściśle wyselekcjonowanej, dotkniętej szpecącą chorobą kobiety i wskazuje na maszerującego przodem ściśle wyselekcjonowanego chińskiego trans mężczyznę.

– Wkurza mnie – mówi. – Ja wiem, że musimy mieć jakiegoś żółtka w zespole, bo bez nich nie byłoby tej wyprawy, ale czy musieli przysyłać takiego dziwoląga?

Nie odpowiadam, skupiając się na liczeniu uderzeń serca. Nie jestem taka silna, jaką udaję.

– Ja ci powiem, czemu tak zrobili – ciągnie Moritz. – Chcą pokazać, jacy są teraz postępowi. A przy okazji chcą namieszać w głowach normalnym amerykańskim chłopakom i dziewczynom. – Przerywa na chwilę, dla uspokojenia oddechu. – Jak zaczniesz słabnąć, nie będę na niego czekał. To znaczy, nie żebym miał coś osobiście przeciwko. Ale wiesz, co moi przodkowie z takimi robili...

– Jacy przodkowie? – rzucam.

– No rozumiesz, nazwisko mam po ojcu. Chociaż to się niby dziedziczy po matce...

– Ty się może, Moritz, zastanów, kim w końcu jesteś!

Maszerujemy przez chwilę w ciszy. Wiatr się uspokoił, ale chmury opadły nisko, tak że nie widzę nic poza zamgloną sylwetką przed sobą.

– Jak wrócimy z wyprawy, to dam sobie wreszcie spokój ze wspinaniem – zaczyna znowu Moritz.

– Wszyscy tak mówią, kiedy są tutaj – odpowiadam. – Ale po kilku tygodniach na dole myślisz zupełnie inaczej.

– A ty byś nie chciała z tym skończyć? Założyć w końcu rodzinę, zacząć normalne życie?

Pewnie, że bym chciała. Cholernie bym chciała, chociaż nigdy o tym nikomu nie mówiłam. A teraz, ponad sześć kilometrów w stronę nieba, zatopiona w chmurach, w miejscu, gdzie dotychczas nie było żadnego człowieka, wypowiadam to na głos.

– Przecież te twoje plamy to nie jest znowu taki problem. – Słyszę głos Moritza, choć już go nie widzę, bo zostałam z tyłu. – W końcu znajdziesz faceta, któremu to nie przeszkadza.

Tłumaczę, że mój przypadek to nie tylko plamy.

– No więc sama powiedz. – Słyszę. – Jak tak patrzysz na tego żółtka i wiesz, że on mógł mieć dzieci, ale kazał sobie wszystko wyciąć, to cię nie wkurza?

Moritz zawsze mówi to, co myśli. Chyba za to go lubię, choć są chwile, gdy mam ochotę go zabić.

\*\*\*

Tragarze zachowali się bardzo w porządku. Uciekli dopiero po założeniu drugiego obozu. Zostawili porządek, cały sprzęt zabezpieczony w workach i oczywiście kupkę kamieni z wbitym palikiem, od którego na boki rozciągają się linki z prostokątnymi chorągiewkami. Znowu: żółty, zielony, czerwony, biały i niebieski.

Jak kartki z książki kucharskiej – ich przepis na ten świat.

Chen mówi, że już dzień wcześniej byli bardzo niespokojni. Podobno słyszeli jakieś głosy we mgle.

\*\*\*

Prognozy pogodowe są dobre, więc decydujemy się na atak z marszu. Moritz brnie przodem i szuka bezpiecznego przejścia. My z Chenem przykucamy na chwilę za sporym głazem.

– Boisz się? – pyta Chińczyk.

– Czego?

– Na szczycie. Że coś będzie znalezione.

– Nic tam nie ma, pokazywałeś przecież zdjęcia.

– Dla Szerpów nie pomogło.



Wzięłam rano dodatkowy acetazolamid, ale i tak kręci mi się w głowie i słyszę dudnienie pulsu.

– Gdybym się bała, w ogóle nie wychodziłabym w góry.

– Ech, Andrea, Andrea... Taka twarda, zawsze odpowiedź gotowa. Bardzo nie chce, że inny powie, że słaba.

– Słuchaj, Chen... – Nie wytrzymuję. – Odwal się, dobra? Nie wiesz, jak to jest. Jestem twarda, bo tego mnie nauczyło życie. Robię, co mogę, z tym, co dostałam. I nie idę na skróty... jak ty. Nie jestem słaba.

– To jest problem dla ciebie – odpowiada spokojnie. – Myślisz o tym, co nie jest, zamiast co jest.

Robi mi się głupio z powodu tego, co powiedziałam. Chen końcem buta wierci dziurę w śniegu.

– A ty się boisz? Chyba nie wierzysz w żadną bramę do innego świata? – zagaduję.

– Tak naprawdę nie pierwsza wyprawa, która idzie tutaj – mówi, nie podnosząc wzroku. – Były już trzy nasze ekipy. Wszystkie nie wróciły. Pewnie dlatego teraz wybrali właśnie ja.

\*\*\*

Na szczycie nie ma nic, poza nadciągającymi szybko ze wschodu chmurami. Brakuje oddechu, żeby świętować. Końcówkę poszliśmy bardzo ostro, ja jeszcze jakoś daję radę, ale Chen ledwie trzyma się na nogach. Wysyłamy sygnał GPS, robię zdjęcie i zwijamy się na dół, zanim będzie za późno.

Tyle, że za późno robi się już sto metrów niżej. Śnieżycą uderza z takim impetem, że nagle zwisam w nicości na jednej ręce, uwieszona na czekaniu. Aparat fotograficzny spada mi z ramienia i znika bezpowrotnie, kręcąc piruety w białej zamieci. Nie będzie zdjęć ze szczytu. Po omacku szukam nogą bezpiecznego podparcia. W głowie mi huczy jak w tartaku, a wiatr wysysa resztki powietrza z płuc. Przyklejam się do ściany.

Bardziej wyczuwam, niż widzę, że ktoś po mojej prawej stronie drapie się z powrotem pod górę.

– Chen... to ty!?! – próbuję krzyczeć, ale nie wiem, czy mnie słyszy.

– Proporczyki... – słyszę jego głos.

– Jakie... proporczyki?!

– Nie zatknęliśmy... Na szczycie... Że zdobyty...

Próbuję go złapać za nogę, ale sama osuwam się kilka metrów w dół.

– Moritz!!! – wrzeszczę.

– Andrea, w porządku? – Na szczęście jest gdzieś blisko.

– Nie... to Chen... odbiło mu... wraca na górę...

Wycie wiatru.

– Idę po niego – sapie Moritz, teraz gdzieś z boku.

Opuszczam się jeszcze trochę, rysując czekanem po lodzie i znajduję nieckę, osłoniętą skalnym nawisem. Wtulam się w najgłębszy zakamarek. Biała przestrzeń wiruje wokół, aż chce mi się wymiotować. Tracę poczucie czasu i chyba zasypiam. Budzi mnie jakieś tąpnięcie. Odgarniam śnieg z gogli – to Moritz gramoli się do jamy. W objęciach ścisła nieprzytomnego Chena.

– Trzymaj się! – powtarza do niego. – Trzymaj się, chłopie! – Po chwili, widząc moje spojrzenie, dodaje: – No co? Bez niego nie mamy po co wracać.

\*\*\*

Nie pamiętam zejścia na dół. Zamieć wyraźnie kpi sobie z nas, bo odpuszcza akurat wtedy, gdy docieramy do bazy.

Obóz stoi, jak go zostawiliśmy. Ani śladu po śnieżycy. Dwa puste namioty przycupnęły nisko, czepiają się kurczowo srebrnosinych kamieni. Antenka radiostacji celuje prosto w niebo. Reszta sprzętu zabezpieczona w przezroczystych pojemnikach. Uśmiecham się do tego wszystkiego, jak do starych przyjaciół. Jeszcze raz udało się wrócić. Zawieszane przez tragarzy trójkątne chorągiewki machają do mnie, delikatnie kołysząc się na wietrze.

Braźowe, różowe, złote, w kolorze fioleto i pomarańczy.

# Łatając czas

Joshua C. Frank

Tytuł oryginalny: *A Stitch in Time* / Przekład: Emilian Wojnowski

---

Byłem tym „szalonym geniuszem”, którego tak stereotypowo przedstawiają w filmach i komiksach, dopóki trzydzieści lat temu nie zmienił tego jeden z moich wynalazków. Trzydzieści lat temu i dziś.

Wiedząc, co się ma zaraz wydarzyć, zasłoniłem oczy dzieciom i zamknąłem swoje. Mimo zaciśniętych powiek poraził mnie błysk, a potrójne uderzenie dźwięku odbiło się echem po okolicznych wzgórzach, które nawet po tylu latach wciąż znajdowały się z dala od miasta. Jediną rzeczą mogącą wytworzyć takie światło czy dźwięk był wehikuł czasu, który wynalazłem w wieku jedenastu lat. Otworzyłem oczy, tak samo moje dzieci. Przed nami, w całej swej zakłamanej okazałości, stał oto wehikuł. (Nie opiszę go, gdyż nie chcę, aby ktokolwiek mógł go odtworzyć). Wyszedł z niego młody ja. Natychmiast skierował spojrzenie na moje dzieci.

*O rany, Mary i Isaac są naprawdę do mnie podobni!*

– Witamy w przyszłości – powiedziałem.

– To twoje dzieci? – zapytał, nie odrywając od nich wzroku; nawet przy tym nie mru-gał.

– Tak – odparłem, promieniejąc. – Nie jedyne, ale tamte zostały z mamą.

Są podobne i do niej, nawet bardziej; nie było jednak potrzeby, by dawać młodszemu sobie jakiegokolwiek wskazówki co do tego, kogo ma poślubić.

– Jak ja je kocham – wypalił, nie spuszczając z nich wzroku. – Nie miałem pojęcia, że tak się da.

Myśląc o tym, zanim jeszcze zobaczyłem je po raz pierwszy, zakładałem, że pokocham je z czasem, tak jak to było z moim psem. Młodszy ja szybko się przekonał, jak bardzo się mylił. Bardziej przypominało mi to sytuację, którą zrelacjonowała mi mama – o tym, jak zobaczyła mnie po raz pierwszy. Pamiętałem, jak to było być nim i je zobaczyć. Nie zostawiły w moim sercu ani umyśle miejsca na nic innego. W kółko tylko myślałem o tym, jak bardzo je kocham. To uczucie zawładnęło mną do tego stopnia, że niemal całkowicie stłumiło miłość do mojej kobiety. A powiedzieć, że oddałbym za nie życie, to jak nic nie powiedzieć. Od tamtej chwili w ciągu trzydziestu lat to uczucie tylko przybrało na sile.

Ja z przeszłości w końcu się jakoś uspokoił i zapytał:

– A co z paradoksami podróży w czasie? Co by się stało, gdybym przypadkiem nie pozwolił się spotkać rodzicom?

– Zanim ci na to odpowiem – odetchnąłem – chcę, żebyś poznał moje dzieci. Billy, to jest Mary, lat jedenaście, i Isaac, lat pięć. Mary, Isaac, poznajcie Billy'ego.

Ja z przeszłości się uśmiechnął.

– No tak! Po Marii Skłodowskiej-Curie i Izaaku Newtonie!

Nie mieli imion po naukowcach, tylko z Biblii. Nauka przestała być moją religią, odkąd stałem się nim.

– Skoro tak – stwierdził – przynajmniej będę teraz wiedział, jakie dać swoim dzieciom imiona.

Wytłumaczyłem wcześniej Mary i Isaacowi, co będą musieli zrobić. Mary przytuliła Billy'ego, a Isaac wskoczył mu na ręce. Chciałem, by mój młodszy ja przywiązał się do nich tak, jak tylko się da, by jak najmocniej je pokochał. Trzymając mocno jedno dziecko z jednej strony, drugie z drugiej, rozpromienił się od razu i tylko odwracał głowę raz w jedną stronę, raz w drugą. Odwzajemniali spojrzenia, starając się utrzymać z nim kontakt wzrokowy. Przypomniałem sobie, jak za dzieciaka nie lubiłem patrzeć nikomu prosto w oczy, ale zauważyłem, że on nie miał z tym problemu. Zapamiętałem, jak brał głęboki wdech, żeby poczuć ich zapach.

Po chwili młody ja w końcu zapytał:

– To powiesz mi?

Nie musiałem być nim z przyszłości, żeby wiedzieć, że normalnie by o takie rzeczy nie pytał.

Pokazałem Mary i Isaacowi, żeby poszli się bawić. Śmiejąc się, biegali po pobliskim pagórku w górę i w dół, a młody ja nie mógł oderwać od nich wzroku.

– Spójrz na mnie – powiedziałem surowo.

Dalej na nie patrzył, zupełnie jakbym nie odezwał się do niego ani słowem.

Chwyciłem go za ramiona i obróciłem do siebie.

– Powiedziałem, żebyś na mnie popatrzył.

Odwrócił głowę w stronę Mary i Isaaca. Uparty był – jak to kiedyś ja – tyle że nie mogłem mu na to pozwolić. Podniosłem głos:

– Jeśli na mnie nie spojrzysz, to znaczy, że ich w ogóle nie kochasz.

Od razu się odwrócił. Skoro już udało mi się przykuć jego uwagę, wygłosiłem dokładnie takie przemówienie, jakie wygłosił do mnie ja z przyszłości, kiedy byłem tu po raz pierwszy.

– Chcesz mojej rady w sprawie podróży w czasie? Nie rób tego. Wracaj do siebie, zniszcz wehikuł czasu i nie pozwól, by ktokolwiek odkrył, jak go zbudować z tego, co ma w domu. Jeśli ktokolwiek będzie znowu podróżował w czasie, egzystencja twoich dzieci stanie pod znakiem zapytania. Nie znasz konsekwencji swoich działań.

Otworzył usta, by zaprotestować, ale kontynuowałem:

– Poza tym podróże w czasie są uzależniające. Ryzykujesz, że twoje dzieci nigdy się nie narodzą. Jeśli będziesz przebywał z nimi za długo w innych czasoprzestrzeniach, wtedy za bardzo się zestarzejesz dla swojej przyszłej żony albo dzięki swojej wiedzy o przyszłości zarobisz za dużo i staniesz się dla niej nieodpowiednim partnerem. Lub może się wydarzyć jeszcze coś innego. To, jak do tego dojdzie, nie jest tak ważne, jak to, że do tego dojdzie. Kiedy wróciłem do waszych czasów, nie chciałem ryzykować z tym lub z innymi wynalazkami, więc porzuciłem naukę. Będziesz musiał zrobić to samo, inaczej matka tych dzieci za ciebie nie wyjdzie.

– Nie przybyłem tu po to, by dać sobą tak manipulować za pomocą miłości do własnych dzieci! – krzyknął. – A mimo to tak się właśnie dzieje.

– Już wiesz, dlaczego nigdy nie spojrzałem wstecz po tym, jak porzuciłem naukę? W nauce ryzykuje się odkryciem rzeczy, o których nie powinno się wiedzieć. Może i jesteś geniuszem, ale przede wszystkim jesteś jeszcze dzieckiem. Nie jesteś jeszcze gotowy na tak wielką miłość, jak ta, którą już zaczynasz czuć do tych dzieci. Wracaj do domu, zniszcz wehikuł czasu i nigdy nie buduj nowego.

– Przecież ich tak nie zostawię na tyle lat! – wydarł się.

– Wystarczy tego! – krzyknąłem.

Zaciągnąłem go do wehikułu czasu i wprowadziłem dokładną datę jego przybycia. Upewniłem się, czy Mary i Isaac nie patrzą, po czym wdusiłem przycisk, aby odesłać go w czasie. Ciągle krzyczał i płakał.

Przestrzeń przede mną – z tymi pagórkami, drzewami i potokiem – wyglądała tak samo, może z wyjątkiem drzew, które zmały o połowę, ale nigdzie nie było widać ani sły-chać moich dzieci, za to nieopodal leżał mój stary rower i kask. Zarówno to, jak i wyświetlacz pokazujący datę uświadomiły mi, że cofnąłem się o trzydzieści lat. Wypchnąłem go z wehikułu i nacisnąłem przycisk, aby wrócić do mojej linii czasowej, a on nadal wyklinał i krzyczał na mnie.

Gdy jego krzyki zostały zastąpione oddalonymi śmiechami Mary i Isaaca, zdałem sobie sprawę, że znalazłem się z powrotem w swoich czasach. Zagwizdałem głośno. Dzieci przybiegły do mnie w błogiej nieświadomości tego, jak musiałem się dla nich poświęcić w wieku Mary. Świeżo po tym spotkaniu ja z przeszłości będzie myślał o tym, co powiedzieć w drodze do domu, i czy z miłości do tych dwojga dzieci – tylko po to, by mogły istnieć – powinien spalić wszystkie swoje notatki naukowe.

– Billy właśnie poszedł do domu – wytłumaczyłem im.

Po rozmontowaniu wehikułu czasu wyrzuciłem jego części do pobliskiego kosza na śmieci. Ponieważ wszystkie były zwykłymi rzeczami (i znowu nie powiem jakimi), nikt i tak by się nie domyślił, do czego mi posłużyły. Okiennice w moim oknie z widokiem na przyszłość zatrzasnęły się po trzydziestu latach już na zawsze; znowu mogłem poczuć się częścią tego świata. Byłem jednak okropnie zdezorientowany, nie mając nawet pewności co do tego, czy zaraz nie znikniemy z powierzchni ziemi.

Gdy wszyscy już zapieliśmy pasy, uruchomiłem busa. Patrzyłem w przyszłość, nie wiedząc, co nas czeka.

# Dolina

Agnieszka Osikowicz-Chwaja

---

Widok za oknem przypominał mi pustynną burzę z czarno-białej ilustracji w podręczniku do geografii, tyle że zamiast piachem zawiewało śniegiem. Usypany z kamieni kopczyk zniknął na tle białych wydm pól i łąk. Nagie pędy powojnika sięgały przez płot ogrodu ku mogile, jakby chciały rozerwać ją na strzępy i wydobyć leżące pod nią ciało.

Jasek, mój mały braciszek, stanął przy mnie i zapatrzył się na grób matki.

– Nie gap się tam – usłyszałam marudny głos ojca.

Jasek się nie ruszył, a ja posłuchałam połowicznie. Uniosłam wzrok znad kopca i przez do połowy zaśnieżone okienko spojrzałam na dominujące nad naszą doliną wzniesienie. Tuż pod jego szczytem wśród lasu wyrąbano polanę, w dzień jaśniejącą bielą śniegu, teraz szarzejącą w cieniach nadchodzącego zmroku. Z naszą doliną łączył ją szlak, którym nie mogłam już chodzić. Wytężyłam wzrok, by dojrzeć jego początek, jednak szczegóły świata zniknęły pod śniegiem.

Na środku polany stała bacówka, którą dwa lata temu odnowiono dla przybyłej z innego świata nauczycielki. Uśmiechnęłam się na wspomnienie jej poważnych, bladoniebieskich oczu. „Pannica z miasta” – mówiono. – „Ucieknie po pierwszej zimie”.

Wiedziałam, że nie ucieknie. Moja matka przetrwała tu jedenaście zim, a była słaba i nienawidziła nowego domu. Nauczycielka miała w sobie siłę i sama wybrała nasze wzgórze.

– Powiedziałem, nie gap się tam!

Jasek umknął w głąb izby. Odwróciłam się. Ojciec siedział na ławie pod ścianą i skręcał w dłoniach kolejną ze swoich pokracznych słomianych figurek. Konie, owce, psy, krowy, ptaki, ludzie... Stały wszędzie i trudno było jedną odróżnić od drugiej.

Jasek spojrzął na najnowsze dzieło ojca i wydał z siebie skrzekliwy dźwięk, który chyba miał być radosnym śmiechem. Czasem nawet ja miałam wrażenie, że może ludzie mają rację i mój brat to...

– Pierdolony podrzut! – warknął ojciec.

Pociemniało mi przed oczami. Musiał wiedzieć, że odmieniony Jasek to jego dzieło, nie był aż tak głupi. Odrętwiałe po śmierci matki dziecko potrzebowało czułości, a nie rzućcenia w gnój i obicia kijem. Z lasu nie wybiegła skruszona boginka zwabiona wyciem swego dziecka. Nie zabrała własnego pomiotu, nie oddała dawnego, rozbrykanego Jaska.

Nic jednak nie powiedziałam. Nie było sensu mówić do ojca. Ale on i tak jakby usłyszał moje myśli:

– Chciałem odzyskać syna – szepnął.

Chyba tęsknił za czasami, gdy żył w tej dolinie sam jak palec. Miał poletko fasoli, silnego konia, wóz i narzędzia, mały sad, miał podobnych sobie sąsiadów z chat rozsianych po wzgórzach. A potem z jednej z wypraw do miasta na targ przywiózł żonę. Spodobą mu się miejska panna, bo chociaż pochodziła z biedoty, to przecież była inna. Obyta ze światem. Dziwnie ubrana. Pachnąca różaną wodą.

Jedyna taka w okolicy, a on zawsze miał o sobie wysokie mniemanie.

Gówno z tego wyszło. Żona brzydziła się nowego życia i szybko zaczęła gardzić mężem. Dzieci były częścią jej niedoli, więc właściwie miały szczęście, że traktowała je tylko obojętnie. Aż umarła, niemal dwa lata temu, wiosną, gdy spakowała już walizkę, by wrócić do miasta. Nie wspomniała słowem, czy w planach na dalsze życie miała dzieci.

Jasek wstał, podszedł do pieca, trącił garnek z zimną zawartością, którą zaczęła pokrywać pleśń.

– Nie jedz tego – powiedziałam cicho. – Zostało trochę chleba.

Rozejrzył się, chwycił leżącą na stole czerstwą, brązową grudkę. Zerknęłam jeszcze raz za okno. Ze szkolnego okna wydobywał się słaby blask. Nauczycielka zapewne zapaliła lampę naftową, piękną, o ceramicznym korpusie malowanym w maki. My też gdzieś mieliśmy lampkę, choć zwykłą, mosiężną. Nafty jednak w domu już od roku nie było, do łask wróciło cuchnące łuczywo.

Jasek wdrapał się po drabinie na poddasze, więc poszłam za nim. Usiadł na sienniku, schrupał chleb. Objęłam jego drobne ciało, a on zwinął się w kłębek.



Zapatrzyliśmy się za okno, maleńkie jak mój podręcznik do rachunków. Zastęchałam się w ciszę. Przestało wiać, chyba przestało też śnieżyć. Jasek palcem wskazał niebo. To nie był ten kierunek, lecz zrozumiałam, o co mu chodzi.

Tylko że ojciec zabronił chodzić do szkoły. Powiedział Jaskowi, że przy szkolnym szlaku zamieszkały potwory, które polują na dzieci.

– Dobrze, pójdziemy jutro – mruknęłam.

Przymknęłam powieki i przed oczami stanął mi wiosenny dzień, w którym zaczęła się wielka miłość Jaska do nauczycielki. Bładooka kobieta, smukła, z ciemną chmurą nieokiełznanych włosów, zeszła ze wzgórza, lekka jak leśna rusałka, i stanęła w naszym ogrodzie. Miała na sobie błękitny płaszcz i wysokie czerwone buty, na ustach cień pomadki i rozmarzony uśmiech. Zapomniałam języka w gębie, a ona rozejrzała się wokół, skubnęła ułamaną gałązkę bzu, zapytała, jak się miewam. A potem o ojca.

Wyszedł, zanim zdążyłam go zawołać, w rozchełstanej na piersi koszuli i z wyzwaniem w oczach. Uważał, że się jej spodoba i zrobiło mi się za niego wstyd. Wcześniej żona patrzyła na niego z odrazą, a teraz ta młoda nauczycielka z rozbawieniem.

– Jasek nie pojawia się w szkole już drugi tydzień – zaczęła bez wstępów. – Dlaczego?

– Nie ma obowiązku chodzić do szkoły – burknął.

Przekrzywiła głowę, chmura czarnych włosów spłynęła po ramieniu. Uśmiechnęła się, gdy mała sylwetka mojego brata ukazała się w drzwiach domu.

– Chciałbyś chodzić? – zapytała.

Chłopiec spłoszył się, ale po chwili skinął głową, zaskrzeczał radośnie.

– Po co? Sama pani widzi. To głupek. Pośmiewisko. Szkoda na niego czasu.

Tęczęwki oczu nauczycielki pokrył szron, wiosenny dzień przypomniał sobie o zimie.

– Jest dobrym chłopcem. Spotyka inne dzieci. Lubią go.

Ojciec zbliżył się do nauczycielki na odległość kroku. Nie cofnęła się.

– Coś pani nie wyszło, w tamtym życiu, prawda? Coś panią tu sprowadziło. Złamane serce? Porażka? Wkrótce pani przegra, zobaczy, że to nie ma sensu. Tu też się nie uda.

Twardo patrzyła mu w oczy.

– Jasek może nie zapamięta nazw rzek świata, ani nie nauczy się mnożenia czy dzielenia. Ale to dobre dziecko, potrzebuje ciepła i sympatii. Dostanie je w szkole. – Spojrzała na mnie, a jej oczy znowu miały kolor spłowiejących na słońcu niezapominajek, a nie odłamków lodu. – Postaraj się jutro przyjść z bratem.

Poszła, a Jasek usiadł na progu i z cielecym zachwytem patrzył, jak znika na szlaku pomiędzy bukami.

\*\*\*

Od tamtej pory Jasek chodził ze mną do szkoły, codziennie krocząc wyboistą ścieżką ukrytą pomiędzy drzewami. Siadał na ławie, spokojny i zachwycony. Potrafił pokazać na mapie kilka miejsc, jak urzeczony słuchał wierszy, radził sobie z prostym dodawaniem. Wyczuwał nastroje innych i smutniał z każdym dniem, gdy smutniała nauczycielka.

Bo dzieci było na lekcjach coraz mniej. Nauczycielka pielgrzymowała nie tylko do nas, próbując pozbierać zagubione dusze. Jeszcze przed poprzednią zimą z siedemnaściorą została nas dziesiątka, a zimą było jeszcze gorzej. Bacówka stała niby w środku naszego świata, ale jednak oddalona od porzrzucanych domostw. Za bardzo oddalona. Tylko ja i Jasek byliśmy w szkole codziennie. Najpierw chodziła z nami jeszcze Nora oraz bliźniaki owczarza, potem Nora zniknęła, a pojawił się Bart. Później, na jeden dzień, zjawił się syn stolarza, ale nie wrócił, podobnie jak bliźniaki. Znikały dzieci, bladła radość nauczycielki.

Wiosną niewiele się poprawiło, a tuż przed zimą ojciec stwierdził, że szkoła miesza Jaskowi w głowie i zabronił mu chodzić. Musiałam pilnować młodszego brata.

Teraz znowu brnęliśmy dobrze znanym, chociaż ukrytym pod śniegiem szlakiem. Jasek niezgrabnie stawiał stopy w za dużych butach, do których kazałam mu przymocować karple. Rozglądał się wokół, wypatrując zmyślonych przez ojca potworów.

Przechodząc obok największego ze stojących przy szlaku dębów poczułam chłód na karku. Minionej jesieni przyszedłam tu sama, z należącą do martwej już matki buteleczką wody różanej, którą znalazłam w noc po jej śmierci. Wyjęłam korek, chwilę wdychałam blade wspomnienie aromatu. Coś mi nie pasowało, lecz przecież kilkuletnia woda mogła pachnieć trochę dziwnie. Nie rozpoznałam ostrzeżenia, nuty rośliny, przed którą przestrzegano dzieci na wzgórzach.

„Nie dotykaj!”

Ileż razy słyszałam te słowa, wypowiedane przez ojca, wskazującego bladnoróżowe kwiatki, nazywane dławiczkami!

Wylałam kroplę wody na lewy nadgarstek, potarłam nim prawy, tak jak robiła to matka. Poczułam mrowienie, lecz je zignorowałam. Różany zapach trafił na moją szyję, tam, gdzie pod skórą pulsuje krew, i zrozumiałam, że popełniłam błąd. Najpierw z trudem łapa-

łam oddech, potem drapiąc szyję próbowałam krzyżeć. Zdażyłam zrozumieć, co stało się z matką i dlaczego ojciec pochował ją tak szybko. Chociaż przecieź nie miał się czego bać: wśród naszych wzgórz nikt nie był w takich sprawach zbyt docieklivy, a żona rolnika z doliny pozostała obca. Zrozumiałam teź, czego ojciec tak rozpaczliwie szukał, gdy już ocknął się z pijackiego odrętwienia w poranek po jej śmierci.

Głosy, cienie i całkiem wyraźne sylwetki, moi nowi towarzysze od tamtego dnia, uświadomiły mi, że w naszej dolinie nie da się umrzeć gwałtowną śmiercią i odejść całkowicie. Niemal się nie da. Moja matka miała szczęście.

– Chodź, Jasek – szepnęłam, otrząsając się z jesiennych wspomnień.

Powlókł się za mną, chociaż przecieź mnie nie słyszał.

\*\*\*

Wreszcie dostrzeegliśmy głązy strzegące końca ścieżki. Nauczycielka siedziała oparta o jeden z nich, z twarzą skierowaną ku nam, jakby witała przybywających ze szkolnego szlaku. Najpierw się ucieszyłam, a potem zobaczyłam, że z jej sonej dłoni na wełnianą spódnice wysypały się białe pigułki. Poczułam rozczarowanie. Przecieź miała być silna!

Odwróciłam się do brata. Jasek nie rozumiał wiele, lecz to rozumiał od razu. Wykrzywił się, jego ciało zadrżało.

I wtedy ujrzałam jej zjawę. Stała na ścieżce z chmurą czarnych włosów i niezapomnianymi oczami. Skinęła głową, więc przekazałam Jaskowi, co powinien zrobić. Łykał tabletkę po tabletkę, rozgryzając je jak cukierki.

Za chwilę zaśnie i wtedy wszyscy troje pójdziemy do szkoły.

# Gwiazdne Lustro

Marek Kolenda

---

Cienka, srebrzysta rysa pierścieni dzieliła nocne niebo nad Haven na dwie części, a w każdej z nich błyszczał klejnot jednego z dwóch księżyców planety. Połyskiwały zielenią i błękitem jak szmaragd i szafir na tle odległych gwiazd. To właśnie ten widok zatrzymał Roberta na tym niegościnnym świecie, gdzieś na peryferiach Drogi Mlecznej.

A na pewno zatrzymał w tej robocie.

Trzecim i czwartym satelitą Haven były niewidoczne stąd stacja ratownictwa planetarnego oraz niewielki terminal kosmiczny. Ten ostatni obsługiwał nasilający się ruch pasażerski, a także rzadkie wizyty bezzałogowych transportowców z zaopatrzeniem dla kilku tysięcy stałych mieszkańców przebywających w dwóch osadach górniczych, trzech kurortach oraz nielicznych placówkach naukowych na powierzchni i orbicie.

Nie pierwszy już raz Robert musiał przyznać, że niebo nad Haven widziane z powierzchni planety robi jeszcze większe wrażenie niż oglądane z orbity, po której krążyła stacja. Nawet teraz, gdy podziwiał je spod grubej na kilkadziesiąt metrów warstwy przezroczystego jak lza krysztalodu.

Leżąca u jego stóp postać w złocistym skafandrze poruszyła się nieznacznie i ponownie skupił na niej uwagę.

– Nie odchódź jeszcze – wymamrotała Elaine stłumionym głosem i w tej samej chwili, jakby w odpowiedzi, otaczające ich zewsząd krysztalodowe masy zadrżały.

Gdzieś wysoko ponad nimi wystrzeliła kolejna fontanna srebrzystego gazu i zaraz przełamała się wpół na granicy cienkiej atmosfery planety, jak gdyby gejzer pokornie ugiął kark przed majestatem gwiazd. Jednocześnie bańka, w której oboje tkwili, przypomina-

jąca pęcherzyk powietrza zamknięty w bezbarwnym szkłe, osunęła się o kolejne pół metra, powoli i nieuchronnie opadając w głąb kryształodowej góry.

– Nigdzie się nie wybieram – zapewnił z goryczą, której Elaine nie mogła usłyszeć w jego głosie. – Mówiłem przecież, że razem zaczekamy na Sfinksa.

Nie odpowiedziała. Oboje wiedzieli, że kolejny raz skłamał. I tym razem podwójnie – nie było go tutaj tak naprawdę i nawet w najbardziej optymistycznych scenariuszach nie doczekają przylotu jednostki ratunkowej. A raczej ona nie doczeka. Tlenu pozostało jej co najwyżej na godzinę.

Zresztą co zdołała Sfinks? Wypali pół zbocza? Przystawi górę?

Robert dawno zdał sobie sprawę, że na pomoc jest już za późno, a oni znajdowali się zbyt głęboko w trzewiach kryształowca. Mimo to sama myśl, że statek ratowniczy przybywa im z pomocą, była na swój sposób krzepiąca. Bo poza tym czuł się wyjątkowo podle i nawet na chwilę nie opuszczało go poczucie winy wywołane ponurą świadomością, że tylko jedno z nich umrze naprawdę.

Szósty test podzespołów nie uspokoił sumienia Roberta. Ponowny odczyt poziomu energii, której – wiedział to już po pierwszej inspekcji – starczy jeszcze długo po śmierci Elaine, jedynie spotęgował jego wściekłość.

Nie oznaczało to jednak, że się podda i będzie czekał beczynnienie.

Kolejny raz zaparł się politytanowymi stopami i naprężył mocarne ramiona, nacierając na strop więzienia. Jeszcze raz omiótł otoczenie fasetkowymi ślepiami, oceniając masę, skład chemiczny, temperaturę napierającej zewsząd góry. Obliczając naprężenia, obciążenia, ciśnienie.

Ale rezultat był wciąż ten sam. Nie zdąży. Nie udźwignie. Nie da rady. Nie uratuje Elaine.

Po trzech haveńskich latach znał już dobrze tajemnice Góry Wszechświata i wiedział, co się stanie, gdy ruszy z całą mocą minireaktora Atlasa i spróbuje przedrzeć się przez otaczające ich masy kryształodu.

Kiedy tylko uwolni wygenerowane ciepło, bańka się powiększy, ale nie na tyle, by sięgnąć zewnętrznej powierzchni zbocza i uwolnić ich z pułapki. Za to z całą pewnością zapadnie się w głąb niebotycznej góry niczym ekspresowy wagonik kosmicznej windy w drodze z orbity na powierzchnię.

I w żadnej z rozważanych i skrupulatnie obliczanych opcji taki zryw nie kończył się sukcesem.

O tym, jaki czeka ich koniec, przypominały mu nieustannie ciała pozostałych członków nieszczęsnej wyprawy, które spoczywały teraz osiem metrów pod nimi – zatopione i unieruchomione w kryształodowym grobowcu.

Umarli na oczach Roberta i Elaine zamkniętych w podobnej bańce i przyglądających się bezsilnie, jak czwórka mężczyzn próbuje wydostać się z pułapki, do samego końca walcząc o życie i marnując cenny tlen. Aż do finałowej, chaotycznej bijatyki, kiedy rzucili się na siebie nawzajem.

Gdy systemy podtrzymywania życia uznały mężczyzn za martwych, wyłączona została większość funkcji w skafandrach, a w końcu również bezużyteczne już odprowadzające ciepła. A wtedy gaz wypełniający bąbel, w którym utkwili towarzysze Elaine, na powrót zastygł w zimny niczym jakiś północny biegun wszechświata kryształód.

Robert nie zdołał ich ocalić, ale przysiągł sobie, że uratuje przynajmniej Elaine. Tyle że Góra Wszechświata za nic miała jego przysięgi.

Kobieta przyglądała mu się ze spokojem, wyraźnie pogodzona z losem. Nadzieja, którą ujrzał w jej oczach po przybyciu, już dawno zgasła.

– Po co wam to było? – zapytał gniewnie. Lecz ten gniew również wybrzmiał jedynie w jego głowie. Bezbarwny głos maszyny nie zdradzał żadnych emocji.

Odwróciła wzrok, starannie unikając spojrzenia w dół na ciała martwych przyjaciół. Potem zaśmiała się gorzko.

– To miała być niezapomniana przygoda. Zdobyć Górę Wszechświata i zobaczyć Lustro Gwiazd z samego wierzchołka! Niewielu tego dokonało w ten sposób. Niewielu widziało naprawdę.

Miała rację. Z samego szczytu Góry Wszechświata można było zajrzeć głęboko w jej kryształowe wnętrza. Raz na kilka haveńskich lat pośrodku gwieździstej nocy, kiedy oba księżyce chowały się za horyzontem, skrajnie niska temperatura panująca na Haven spadała o ułamek stopnia na skali zimnego piekła. A wtedy w strukturze kryształodu zachodziła niewyjaśniona zmiana i pojawiały się w niej niezliczone drobne punkty. Skazy, a może miejsca o większej gęstości bądź odmiennych właściwościach fizycznych lub chemicznych, które niczym miliardy mikroskopijnych luster odbijały światło gwiazd.

Dawno temu, ktoś dziś już zapomniany choć niewątpliwie obrotny, nazwał to zjawisko Lustrem Gwiazd i tak już pozostało. W romantycznych opowieściach przeznaczonych dla turystów powtarzano, że każdemu punktowi przypadała tylko jedna gwiazda. I że to najpiękniejszy widok w całym znanym kosmosie.

Dopiero na miejscu dowiadawali się, że Góra Wszechświata jest niestabilna i zbyt niebezpieczna dla turystów, a Lustro Gwiazd mogą podziwiać wyłącznie na holoe ekranach w hotelowym lounge. Ewentualnie, jeśli ich było stać, mogli się wybrać na jej najłagodniejsze i najbezpieczniejsze zbocze za pośrednictwem drobotów.

Piskliwy sygnał ostrzegający o niskim poziomie tlenu wyrwał Roberta z zamyślenia. Elaine wzdrygnęła się gwałtownie i usiadła, podciągając nogi i obejmując kolana.

Zlustrował spojrzeniem jej sylwetkę, a potem zajrzał w przyciemnioną, przezroczystą masę pod stopami. Trupy czterech poszukiwaczy przygód wciąż tam tkwiły, a Elaine wkrótce miała dołączyć do reszty.

Nikt po nich nie przyleci, nikt nie będzie wyciągał ciał z kryształowego grobowca. Za duże koszty. Za duże ryzyko. Chyba że któreś ma cholernie bogatą rodzinę. Już prędzej jakiś miejscowy górnik lub zdesperowany zbieracz złomu skusi się na wydobycie drobota ratowniczego. To drogi sprzęt, za którego utratę Lars z pewnością powyrywa mu nogi z dupy.

– Ale dlaczego w ten sposób? Czy bogate dzieciaki nie robią takich rzeczy przez droboty? – zapytał naiwnie, chociaż spodziewał się, jaka będzie odpowiedź. Dobrze znał ludzi podobnych Elaine. Od czasu do czasu trafiali także na Heven, rzucając wyzwanie cudom kosmosu. A przy okazji śmierci.

Elaine zmierzyła wzrokiem kanciastą sylwetkę maszyny, w której zaklął swoją jaźń. Potem uważnie przyjrzała się płaskiej fizjonomii Atlasa, jakby szukając ukrytego za politytanową maską człowieka.

– To byłby fałsz. Nic niewarte wspomnienie. Nie przeżyjesz życia na niby. Śmierci zresztą też...

Zabolały go te słowa, ale przemilczał je, przełykając gorycz. Wszystko poszło nie tak. Nie powinien podejmować akcji ratunkowej sam, bez wsparcia. Jeden drobot to zdecydowanie za mało w takiej sytuacji, lecz czasu na podjęcie decyzji nie było zbyt wiele.

Latami czekał na swoją pierwszą noc Gwiezdnego Lustra i od dawna nie krył narastającego podekscytowania. Lars to doskonale rozumiał, dlatego Robert nie musiał długo przekonywać szefa, by pozwolił mu przejąć drobota powierzchniowego i posłać na zbocze Góry Wszechświata pod pozorem serwisowania kamery komercyjnej jednego z hoteli, z którym podpisali kontrakt. Mimo że takie zadania drobot wykonywał z powodzeniem samodzielnie.

Kiedy doszło do niespodziewanej erupcji i okazało się, że tylko jego ATL znajduje się w pobliżu niesubordynowanych turystów, nie wahał się ani chwili. Dotarł na miejsce obsu-

wu tuż przed tym, jak wnętrzem góry wstrząsnęła druga, jeszcze potężniejsza erupcja kryształowego gazu. Jej następstwem było kolejne tąpnięcie, które ich rozdzieliło, uwięziło w oddzielnych bąblach gazowych i pogrzebało pod tysiącami ton kryształodu.

Powinni zginąć na miejscu pomimo niskiego ciężenia panującego na planecie. Jednak właściwości chemiczne i fizyczne kryształodu, zarówno w stanie stałym, jak i gazowym, wciąż wymykały się nauce i były obiektem jałowych i bezowocnych badań kilku placówek naukowych na Haven.

Zamknięci w gazowych bąblach byli w zasadzie bezpieczni. Bo to nie kryształodowe masy ich zabijały. Umierali z braku tlenu. Powolną i okrutną śmiercią.

Wszyscy poza nim. On mógł się tylko przyglądać.

Zaklął głośno przez radio i Elaine spojrzała na niego po raz ostatni z głębi zaciemnionego hełmu. Z ulotnym błyskiem w oczach, jakby na chwilę znów w niego uwierzyła. Że jest prawdziwy i ją ocali. Zaraz potem przymknęła powieki, a Robert obserwował, jak zasypia i przez długie minuty monitorował odczyty jej gasnącego skafandra. A ona przez cały ten czas ścisnęła mocno dłoń trzymetrowego drobota.

\*

– Jednostka ratownicza SFN 4 do operatora ATL 467. Spodziewany czas przylotu dwadzieścia sześć minut ce es – zaskrzeczało w głowie Roberta i wyrwany z zamyślenia poczuł irracjonalne ożywienie.

– Niedługo tu będę – powiedział na głos, ale jego słowa trafiły w pustkę.

Elaine już tu nie było. Uchwyt jej palców słabł z każdą chwilą, aż w końcu uwolniła z uścisku trójpalczystą dłoń maszyny. Ciało kobiety zdawało się teraz mniejsze, bardziej kruche, jakby zapadło się w sobie razem z obszernym skafandrem.

Robert wciąż stał pochylony nad pustą, organiczną powłoką, jak zdziwiony duch w wielkiej mechanicznej skorupie. Niemal wszechmocnej, lecz tu i teraz bezsilnej. Anioł życia, który okazał się aniołem śmierci. Który miał ratować, ale nikogo nie uratował. Miał dawać nadzieję, a sam ją utracił.

I chociaż wiedział, że Elaine nie żyje, uparcie nie chciał jej zostawiać samej w zimnym sercu góry.

Długo zwlekał, wyczekując Sfinksa niemal do ostatniej chwili, a gdy w końcu wyłączył ogniwa energetyczne, otoczenie natychmiast zaszło mgiełką, która zaraz potem zaczęła gęstnieć, by po jakimś czasie wypełnić bańkę tężejącym, czystym jak łza kryształodem.



Receptory drobota rejestrowały to wszystko do momentu, gdy głowa maszyny została unieruchomiona w lodowym uścisku. Kamery skupiły się wówczas na martwej kobiecie i tuż przed wyjściem z immersji, nieco powyżej skulonej postaci, Robert dostrzegł daleki, migoczący punkt, którego światło przenikało przez warstwy kryszalodu.

To mógł być Sfinks, ale równie dobrze mogło to być odbicie odległej gwiazdy. Właśnie zaczynał się niezwykły spektakl, pora Gwiezdnego Lustra.

Chwilę przed tym nim nieboskłon i krysztalód weszły w świetlny rezonans, a wewnątrz góry zamigotało milionem świetlnych punktów, Robert zerwał połączenie z drobotem.

\*

– Teraz odpocznij. – Lars pomógł mu wyplątać się z upręży sensorycznej i zdjąć hełm immersyjny. Przez cały ten czas Robert milczał wpatrzony w jakiś punkt przed sobą.

Właściwie powinien być wdzięczny szefowi stacji. Lars mógł mu przecież wypomnieć bezmyślne poświęcenie cennego drobota albo wygłosić monolog pełen gróźb i oskarżeń. Zamiast tego wymamrotał ciche: „Nie twoja wina”. Poklepał Roberta po ramieniu i ruszył do drzwi. W progu obejrzał się za siebie i powtórzył:

– Wyśpij się teraz. To polecenie służbowe. Rano nagrasz raport.

\*

Niebo na Haven jakby pękło na dwoje. Rozdzierała je srebrzysta, bolesna rysa, a każdą z części szpecił klejnot jednego z księżyców.

Kosmiczni turyści i poszukiwacze wrażeń zapewniali, że to najpiękniejszy widok w znanym wszechświecie i tylko nieliczni z nich, którzy zapuścili się na Górę Wszechświata w czas Gwiezdnego Lustra, zmieniali zdanie.

Żadne widoki jednak nie zdołałyby zatrzymać Roberta w tym okrutnym i zimnym miejscu, gdzieś na krańcu Drogi Mlecznej. I w porzuconej niedawno pracy.

Podczas podróży promem wewnątrzsystemowym, potem w trakcie przesiadki na pokład liniowca długich rejsów, aż do chwili, gdy umościł się w żelkoku przed skokiem podprzestrzennym, w pamięci miał zupełnie inne wspomnienie z Haven.

Obraz uchwycony przez kamery Sfinksa, na którym mocarny Atlas pochyla się nad drobnym ciałem w złocistym skafandrze w głębi przezroczystej góry. Dwie postacie zastygłe na wieczność w krysztalodowcu jak dwa owady zatopione nie w bursztynie, tylko

w najczystszej diamentach. Puste skorupy pozbawione ducha – jedna martwa, druga porzucona.

To właśnie ten widok z Haven zabrał ze sobą do gwiazd.

Antologia „Zakazane szlaki”  
to projekt charytatywny.

Jeśli uważasz, że to fajna inicjatywa,  
prosimy, zaglądnij na stronę inicjatywy  
**Bezpieczny Kazbek**  
i przekaż na jej rzecz dobrowolną darowiznę:

[www.bezpiecznykazbek.org](http://www.bezpiecznykazbek.org)

Mamy nadzieję, że ten e-book  
jest dla Ciebie wart więcej niż dychę ;-)  
W końcu za obiad z dostawą do domu,  
płacisz więcej, prawda? :-)

[www.ZapomnianeSny.pl](http://www.ZapomnianeSny.pl)

# Podłóżko

Graham Masterton

Tytuł oryginalny: *Underbed* / Przekład: Weronika Mamuna

---

Gdy tylko mama zamknęła drzwi do sypialni, Martin zagrzebał się pod kołdrą. Nad-  
szedł jeden z jego ulubionych momentów dnia. W czasie tej długiej, ciepłej godziny między  
jawą a snem podróżował w wyobraźni niemal wszędzie.

Czasami kładł się na plecach z kołdrą podciągniętą pod sam nos i poduszką na czo-  
le, tak że widać było tylko oczy. Bawił się w kosmonautę, a poduszka była jego hełmem.  
Przebywał migoczące lata świetlne, mijając Jowisza z tak bliska, że widział burze szaleją-  
ce na powierzchni, później leciał do chłodnego, zielonego Neptuna, do Plutona i dalej. W  
niektóre noce docierał tak daleko, że nie mógł już wrócić na Ziemię, tylko dryfował coraz  
dalej i dalej, w odległe zakamarki przestrzeni kosmicznej, aż zmieniał się w maleńki okru-  
szek połyskujący w ciemności i zasypiał.

W inne dni stawał się kapitanem łodzi podwodnej uwięzionym tysiące stóp pod po-  
wierzchnią. Przeciskał się ciasnymi, ciemnymi przejściami, żeby otworzyć zawory, woda  
wlewała się ze wszystkich stron, a on wczołgiwał się do komory torpedowej, żeby uciec.  
Wynurzał się w chłodnej sypialni, chciwie łapiąc powietrze.

Później pełził na sam koniec łóżka, gdzie kołdra i prześcieradło były ciasno wciśnięte  
pod materac. Był górnikiem, przeciskającym się przez najwęższe szczeliny pod milionami  
ton węglonośnych skał piętrzących mu się ponad głową.

Nigdy nie zabierał do łóżka latarki. Ujawniłaby ona fakt, że wewnątrz jego hełmu ko-  
smicznego nie miało żadnych wskaźników ani pokręteł, ani rurek z tlenem; i że łódź pod-  
wodna nie była naoliwiona, metaliczna, pełna skomplikowanych zaworów; i że ponure

czarne wyrobisko, w którym desperacko kopał, było niczym więcej jak tylko czystą białą pościelą.

Wcześniej tego wieczora oglądał w telewizji program o alpinizmie jaskiniowym i bardzo chciał go spróbować. Zamierzał przeobrazić się w przywódcę podziemnej misji ratunkowej próbującego znaleźć chłopca, który zaklinował się w rozpadlinie. Oznaczało to konieczność przebycia sieci połączonych tuneli, a następnie wypełnionego wodą syfonu, a w końcu dotarcie do małej jaskini, w której uwięziony był chłopiec.

Mama siedziała na łóżku i ciągle go zagadywała. Za dwa dni miał wrócić do szkoły i powtarzała mu, jak bardzo będzie za nim tęsknić. On też będzie za nią tęsknił, tak samo jak za Tiggym, ich golden retrieverem, i za całym Home Hill. Najbardziej zaś będzie tęsknił za przygodami pod kołdrą. Kiedy było się w szkole, nie można było zagrzebywać się w pościeli. Koledzy za bardzo by się śmiali.

Zawsze uważał, że jego mama jest piękna i dziś było tak samo, chociaż marzył o tym, żeby już sobie poszła i pozwoliła mu eksplorować jaskinie. Jej uroda była tym bardziej imponująca, że w kwietniu miała skończyć trzydzieści trzy lata, co dla Martina oznaczało sędziwą starość. Mama jego najlepszego przyjaciela miała trzydzieści trzy lata i w porównaniu z mamą wyglądała na staruszkę. Mama Martina miała ciemnobrązowe włosy przycięte na boba, krągłą, pełną twarz pozbawioną zmarszczek i ciemnobrązowe oczy zawsze wypełnione miłością.

Powrót do szkoły nigdy nie był łatwy. Martin nie zdawał sobie sprawy z tego, że jej także sprawiał ból – z tego, ile razy podczas jego nieobecności siedziała na pustym łóżku z dłonią przyciśniętą do ust i oczami pełnymi łez.

– Tatuś wróci w czwartek – powiedziała. – Chce nas wszystkich gdzieś zabrać, zanim wrócisz do szkoły. Jest jakieś miejsce, gdzie chciałbyś się wybrać?

– Możemy pójść do tej chińskiej restauracji? Tam, gdzie mają krakersy?

– Do Panga? No pewnie. Tatuś martwił się, że wybierzesz McDonald'sa.

Wstała i dała mu buziaka. Przez chwilę byli ze sobą blisko, twarzą w twarz. Martin nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był do niej podobny – że oboje spoglądali w swego rodzaju lustro. Widział, jak by wyglądał, gdyby był kobietą; a ona widziała, jak by wyglądała, gdyby była chłopcem. Byli dwiema manifestacjami tej samej osoby, złączonymi tajemną więzią, której nikt inny by nie zrozumiał.

– Dobranoc – powiedziała. – Słodkich snów.

I na chwilę złożyła dłoń na jego głowie, jakby wyczuwała, że przydarzy mu się coś doniosłego. Coś, co mogło jej go odebrać na zawsze.

– Dobranoc, mamusiu – odpowiedział i pocałował ją w policzek delikatniejszy niż wszystko inne, czego kiedykolwiek dotykał.

Zamknęła za sobą drzwi.

Przez chwilę leżał na plecach, wpatrując się w sufit. Jego pokój nie był zupełnie ciemny: cienkie pasmo światła wpadało przez górną krawędź drzwi, oświetlając białą papierową lampę zawieszoną nad łóżkiem, tak że wyglądała jak wielka jasna planeta (którą często się stawała). Leżał bez ruchu, aż usłyszał, że mama zamyka drzwi do salonu, a później dał nura pod kołdrę.

Przyłożył zwiniętą dłoń do ust jak mikrofon i powiedział: „Trzeci Podziemny Zespół Ratunkowy melduje się do akcji”.

„Cześć, Trójka! Dobrze, że jesteście! W Załomie Legga, 225 metrów pod ziemią, za Diabelskim Zakrętem, jest uwięziony chłopak. Ma siedemnaście lat i jest ciężko ranny”.

„Okej, baza. Zaraz tam kogoś wyślemy”.

„To musi być wasz najlepszy człowiek... tam jest naprawdę niebezpiecznie. Zaczęło padać i zalewa wszystkie jaskinie. Macie najwyżej z godzinę”.

„Nie martwcie się, damy radę. Bez odbioru”.

Martin włożył ekwipunek: bieliznę termiczną, buty, plecak i gogle. Gdyby ktokolwiek mu się przyglądał, zobaczyłby tylko skłębioną pod kołdrą masę w kształcie chłopca, wijącą się i wierzącą, podrygującą w górę i w dół. Ale gdy skończył, był w pełni przygotowany do wędrówki w dół do Diabelskiego Zakrętu.

Jego ostatnia wiadomość przez radio brzmiała: „Baza? Wchodzę”.

„Trójka, uważajcie. Pada coraz mocniej”.

Martin uniósł głowę i zaczerpnął chłodnego powietrza z sypialni. Potem zanurzył się w pierwszą szczelinę, która miała go poprowadzić do jaskiń. Skaliste sklepienie wisiało niebezpiecznie nisko i musiał się czołgać na łokciach jak komandos. Rozdarł wodoodporną kurtkę na wystającej skale i rozciął sobie policzek, ale był tak bohaterski, że tylko otarł krew wierzchem dłoni i pełził dalej naprzód.

Nie minęło wiele czasu, nim dotarł do ciasnego, niewygodnego zakrętu, który był tak naprawdę końcem łóżka. Musiał go przemierzyć, kładąc się na boku, sięgając w najbliższą szczelinę, by mieć się czego złapać, i podciągając się do przodu centymetr po centymetrze. Ledwo się przezeń przecisnął, kiedy trafił na kolejny i musiał sobie z nim poradzić w ten sam sposób.

Powietrze w jaskiniach robiło się coraz duszniejsze i Martinowi było już strasznie gorąco. Wiedział jednak, że musi iść dalej. Chłopiec w Załomie Legga liczył na niego, tak jak

reszta Trzeciego Podziemnego Zespołu Ratunkowego i cały świat na powierzchni, który czekał z niepokojem na jego powrót.

Pełzł naprzód z krwawiącymi palcami, aż dotarł do syfonu. Był to dziesięciometrowy odcinek tunelu kompletnie zalany zimną, czarną wodą. Od czasu odkrycia utonęło w nim pięciu grotolazów, w tym dwóch zawodowców. Syfon był nie tylko zalany. W połowie miał ciasny zakręt ze skalnymi wyrostkami, o które łatwo było zahaczyć paskiem lub plecakiem. Martin zawahał się na moment, lecz potem zaczerpnął głęboko stęchłego powietrza i dał nura pod powierzchnię.

Woda była oszałamiająco zimna, ale Martin płynął przez tunel, mocno wymachując ramionami, aż dotarł do zakrętu. Nadal wstrzymując oddech, obrócił się bokiem i zaczął przeciskać się między ostrymi, nieustępliwymi skałami. Był już prawie po drugiej stronie, kiedy jego plecak zahaczył się i Martin uwiązł. Okręcił się i próbował sięgnąć za plecy, żeby uwolnić pasek, ale tylko jeszcze mocniej go zaciągnął. Próbował się odwrócić, ale pasek zadzierzgnął się w supeł.

Wstrzymywał oddech już tak długo, że zaczynały go boleć płuca. Zdesperowany sięgnął do kieszeni i wyciągnął składany nóż. Udało mu się wyciągnąć ostrze, sięgnąć ramieniem za plecy i zamachnąć się na zaciśnięty pasek. Chybił pierwszymi dwoma cięciami, ale za trzecim razem udało mu się przeciąć go do połowy. Oczy wyłaziły mu z orbit i desperacko brakowało mu tchu, ale nie poddawał się. Kolejne cięcie i pasek puścił.

Martin wierzgnął obiema nogami i popłynął naprzód tak szybko, jak był w stanie. Dotarł do końca syfonu i wystrzelił na powierzchnię, z wdzięcznością chwytając potężne hausty lodowatego podziemnego powietrza.

Pokonał syfon, ale czekały na niego kolejne niebezpieczeństwa. Deszczówka z powierzchni zaczynała już docierać do niższych partii zespołu jaskiń. Słyszał, jak woda spływa szczelinami i chlupocze w korytarzach. Miał niecałe pół godziny, zanim każda jaskinia zostanie zalana i nie będzie już drogi powrotnej.

Parł naprzód, sunąc na brzuchu przez szczelinę, która z rzadka osiągała więcej niż trzydzieści centymetrów wysokości. Był posiniaczony i wyczerpany, ale prawie dotarł do Diabelskiego Zakrętu. Stamtąd miał już tylko kilka metrów do Załomu Legga. Deszczówka skapywała z niskiego wapiennego sklepienia i płynęła w dół szczeliny, ale Martin nie zważał na nią. Był już przemoczony i właśnie wpełzał w Diabelski Zakręt. Prześlizgnął się do wąskiej, pionowej szczeliny nazywanej Załomem Legga i spojrzał w dół, próbując odszukać uwięzionego chłopca.

– Halo! – zawołał. – Jest tam kto? Halo, słyszysz mnie? Przyszedłem cię wydostać!

Nasłuchiwał, ale nie było odpowiedzi. Nie było nawet wyobrażonej odpowiedzi. Wepchnął głowę niżej, żeby móc zajrzeć w głąb szczeliny, ale nikogo tam nie było. Nikt nie płakał; nikt nie wołał. Ani śladu bladej, przerażonej twarzy spoglądającej w górę, na niego.

W rzeczywistości dotarł do stóp łóżka i zaglądał przez krawędź materaca w ciasno podwinięte prześcieradło.

Miał wybór, ale zostało mu niewiele czasu. Mógł albo zejść w głąb Załomu Legga, żeby spróbować znaleźć uwięzionego chłopca, albo mógł się poddać i wrócić na górę. Za niecałe dwadzieścia minut jaskinie będą kompletnie zalane i wszyscy, którzy się w nich znajdowali, utoną.

Postanowił zaryzykować. Zejście na sam dół Załomu Legga zajęłoby mu tylko siedem lub osiem minut, dotarcie z powrotem do syfonu – kolejne pięć. Po jego przebyciu jaskinia wznosiła się stromo ku powierzchni, więc będzie miał sporą szansę na ucieczkę, zanim zaleje ją woda.

Przeczołgał się przez krawędź Załomu Legga i zaczął się zsuwać w dół szczeliny. W każdym momencie mógł się poślizgnąć, jego ręce i nogi drżały z wysiłku. Czuł, że wapienne ściany zaczynają się osuwać – długie, powolne, sejsmiczne drżenie, przez które poczuł, jakby cały świat walił się wokół niego. Jeśli Załom Legga by się zapadł, zostałby uwięziony, bez drogi ucieczki z podziemnych jaskiń zalewanych deszczem.

Dyszząc z wysiłku, próbował przytrzymać się ścian rozpadliny. Był moment, gdy wydawało mu się, że wciągnie się z powrotem do góry. Ale potem wszystko zjechało w dół – prześcieradła, kołdra, wapienne skały – i znalazł się na dole Załomu Legga pogrzebany żywcem.

Na chwilę ogarnęła go panika. Prawie nie mógł oddychać. Później zaczął szarpać osuwisko, wydierając sobie drogę z rozpadliny kamień po kamieniu. Musiało być jakieś wyjście. Jeśli istniała głębsza, położona niżej jaskinia, być może byłby w stanie zejść do stóp wzgórza i wyczołgać się przez lisią jamę albo dowolną inną szczelinę. Jeśli deszczówka znajdowała ujście przez wapień, z pewnością on też był w stanie znaleźć wyjście.

Udało mu się odrzucić wszystkie głązy. Teraz musiał tylko przedrzeć się przez szlam. Chwytał go wielkimi garściami i przerzucał za siebie, aż w końcu poczuł powiew świeżego powietrza w szczelinie: świeżego powietrza i wiatru. Wyczołgał się z Załomu Legga i padł na płaską, piaszczystą plażę. Dzień był bladoszary, ale słońce wisiało wysoko na niebie, ocean połyskiwał kojąco w oddali. Odwrócił się i zobaczył tylko ciągnące się kilometrami szare, trawiaste wzgórza. Jakimś cudem wyłonił się spośród kęp trawy niczym ktoś wynurzający się spod ciężkiej kołdry.



Wstał i się otrząpał. Ciągle miał na sobie wodoodporną kurtkę i buty do chodzenia po jaskiniach. Cieszył się z tego, bo wiatr był przenikliwy i chłodny. Wysoko na niebie białe mewy zataczały kręgi, nie skrzecząc i nie zawodząc, z oczami pozbawionymi wyrazu niczym oczy rekinów. W piasku pod jego stopami tkwiły niewielkie opalizujące muszki.

Przez chwilę nie wiedział, co robić dalej i gdzie się udać. Być może powinien wypełznąć z powrotem do jaskini i wrócić tą samą drogą na powierzchnię. Ale tutaj był na otwartej przestrzeni i wydawało się to bez sensu. Poza tym jaskinia była mocno zarośnięta trawą i trudno było ją dostrzec. Uznał, że powinien przejść się kawałek w głąb łądu, spróbować znaleźć jakąś drogę, dom lub jakąkolwiek wskazówkę, gdzie się znajduje.

Ale wtedy w oddali, gdzie morze spotykało się z niebem, zobaczył niewielką łódź rybacką, która przybiła do brzegu, i schodzącego na ląd mężczyznę. Łódź miała rudawy trójkątny żagiel, jak na starej akwareli. Ruszył w jej stronę. Kiedy zorientował się, jaka dzieliła go od niej odległość, zaczął biec. Jego wodoodporna kurtka szeleściła w biegu, buty zostawiały głębokie ślady w piasku. Mewy krążyły i krążyły, dotrzymując mu tempa.

Po dwudziestu minutach marszobiegu dotarł do łodzi. Siwobrody mężczyzna ubrany w oliwkowy olejak klęczał przy niej, nawlekając grube trójkątne ryby na linę. Ryby mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Niektóre nadal żyły; waliły ogonami o piach i ruszały skrzelami.

Martin zatrzymał się kilka metrów od niego i przyglądał się bez słowa. Wreszcie mężczyzna skończył nawlekać ryby i podniósł wzrok. Był przystojny w staroświecki sposób – ociosany niczym Charlton Heston. Ale jego oczy były całkowicie wypłowiałe: miały kolor nieba w pochmurny dzień. Przypominał Martinowi kogoś znajomego, ale nie wiedział kogo.

Niedaleko, na zwiniętej w pętle linie, siedział ze skrzyżowanymi nogami drobny chłopiec w płaszczu z kapturem. Grał na flecie wysoką, tęskną melodię. Jego nadgarstki były tak chude, a melodia tak smutna, że Martinowi prawie chciało się płakać.

– No, przybyłeś wreszcie – powiedział mężczyzna z oczami koloru nieba. – Czekaliśmy na ciebie.

– Czekaliście na mnie? Dlaczego?

– Jesteś grotolazem, prawda? Najlepiej działasz pod ziemią.

– Szukałem chłopca. Podobno utknął w Załomie Legga ale... sam nie wiem. Jaskinie zostały kompletnie zalane i chyba się zawaliły.

– I myślałeś, że udało ci się uciec?

– Udało mi się.

Mężczyzna wstał ze skrzypieniem płaszcza. Bił od niego silny zapach świeżo złapa-

nych ryb, śluzu pokrywającego łuski.

– To był tylko sposób na to, żeby cię tu sprowadzić. Potrzebujemy pomocy doświadczonego grotolaza, takiego jak ty. Co myślisz o tych rybach?

– Nigdy takich nie widziałem.

– To nie są ryby. Nie w ścisłym tego słowa znaczeniu. To bardziej myśli.

Podniósł jedną, tak że zaczęła się wić i połyskiwać; Martin zobaczył, że to faktycznie nie była myśl, a nie ryba. Myśl dotycząca złoszczenia się na ludzi, których się kocha, i tego, że można im wytłumaczyć, że się ich kocha, i uspokoić ich w ten sposób. Potem mężczyzna podniósł kolejną rybę i to była zupełnie inna ryba, zupełnie inna idea. Połyskliwa idea dotycząca liczb: tego, że metr obliczany jest za pomocą prędkości światła. Jeśli światło da się skompresować, to odległość też – implikacje były oszałamiające.

Martin nie był w stanie zrozumieć, w jaki sposób ryby były nie tylko rybami, lecz także myślami – ale tak właśnie było. Niektóre z tych idei były tak piękne i niezwykle, że stał, wpatrując się w nie, i czuł, że całe życie wywracało mu się do góry nogami.

Słońce zaczęło się chylić ku horyzontowi. Chłopiec odłożył flet i pomógł rybakowi zebrać pozostałe liny i sieci. Rybak dał Martinowi do niesienia duży wiklinowy kosz pełen sflawików z niebieskiego szkła i skomplikowanych kołowrotek.

– Będziemy musieli się sprężyć, jeśli chcemy dotrzeć do domu przed zmrokiem.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Wiatr podrywał syczące węże piasku, a za ich plecami morze szumiało jak odległa publiczność. Po czterech czy pięciu minutach Martin spytał:

– Po co wam grotolaz?

Rybak rzucił mu krótkie spojrzenie z ukosa.

– Możesz w to nie wierzyć, ale poza tym światem istnieje jeszcze inny. Miejsce znajdujące się tuż obok nas, jak kraina, którą widać w lustrze... niby taka sama, ale inna.

– Co to ma wspólnego ze speleologią?

– Wszystko, bo istnieje tylko jedno przejście do tego świata: wpełznąć do łóżka i przedostać się na drugą stronę.

Martin stanął w miejscu.

– Co ty u diabła gadasz: „do łóżka?” Chodzę po jaskiniach i rozpadlinach, a nie łóżkach.

– Nie ma żadnej różnicy – odpowiedział rybak. – Jaskinie i łóżka są dokładnie tym samym... drogą wiodącą gdzie indziej.

Martin znów ruszył naprzód.

– Lepiej wytłumacz, co masz na myśli.

Słońce już prawie dosięgło horyzontu i ich cienie przemieniły się w gigantów na szcudłowatych nogach, z odległymi głowami wielkości główek szpilki.

– Nie ma wiele do tłumaczenia. Pod pościelą istnieje inny świat. Niektórzy są w stanie go znaleźć, inni nie. To pewnie zależy od ich wyobraźni. Moja córka Leonora zawsze miała wyobraźnię. Chowiała się pod kołdrę i udawała, że jest prehistoryczną mieszkanką jaskiń; albo Indianką w tipi. Ale jakiś miesiąc temu powiedziała, że znalazła inny świat na samym dole łóżka. Widziała go, ale nie potrafiła się tam dostać.

– Opisała go jakoś?

Rybak pokiwał głową.

– Powiedziała, że jest mroczny, bardzo mroczny, pełen splątanych ciernistych krzewów i drzew. Mówiła, że widziała poruszające się po nim cienie. Może wilki, a może skulonych ludzi odzianych w czarne futra.

– Nie brzmi to jak świat, który ktokolwiek chciałby odwiedzić.

– Nie mieliśmy szansy się dowiedzieć, czy Leonora poszła tam, bo tego chciała. Dwa dni temu moja żona weszła do jej pokoju i odkryła, że łóżko jest puste. Z początku myśleliśmy, że może uciekła. Ale nie kłóciliśmy się o nic i nie miała żadnego powodu do ucieczki. Później odsunęliśmy kołdrę i zobaczyliśmy, że dolna część prześcieradła jest podarta, jakby jakieś zwierzę ją poszarpało. – Urwał, a potem z trudem dodał: – Znaleźliśmy też krew. Niedużo. Może skaleczyła się cierniem. Może zwierzę ją podrapało.

Zdążyli dotrzeć do trawiastych wzgórz i zaczęli się na nie wspinać. W pobliżu stały trzy nieduże chatki, dwie pomalowane na biało i jedna na różowo, ze światłami w oknach i sieciami rybackimi rozwieszonymi wokół do naprawy.

– Nie próbowaliście sami za nią pójść? – spytał Martin.

– Próbowaliśmy. Bezskutecznie. Nie mam dość wyobraźni. Widziałem tylko kołdrę i prześcieradła. Łowię racjonalne idee: astronomię, fizykę, ludzką logikę. Nie potrafiłem wyobrazić sobie Podłóżka, więc nie mogłem go odwiedzić.

– Podłóżka?

Rybak uśmiechnął się do niego ponuro.

– Tak je nazywała Leonora.

Dotarli do chaty i zrzucili kosze i ekwipunek. Drzwi do kuchni otwały się i wyszła z niej kobieta wycierająca ręce o kwiecisty fartuch. Miała jasne włosy splecione na szczycie głowy i była piękna w dziwny, pozbawiony wyrazu sposób, jakby była przyzwoitym malowidłem olejnym, a nie prawdziwą kobietą.

– A więc wróciłeś? – powiedziała. – To jest grotolaz?

Rybak położył dłoń na ramieniu Martina.

– Zgadza się. Miał przybyć i przybył. Może zacząć poszukiwania dziś w nocy.

Martin już miał zaprotestować, kiedy kobieta podeszła i ujęła go za dłonie.

– Wiem, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy – powiedziała. – Niech cię Bóg błogosławi za to, że przybyłeś spróbować.

\*\*\*

Tego wieczoru przy kuchennym stole zjedli kolację – przykrytą chrupkimi ziemniakami smakowitą zapiekanekę rybną, którą popijali szklankami zimnego cydru. Rybak i jego żona nie mówili wiele, ale prawie nie odrywali oczu od Martina. Mogłoby się wydawać, że boją się, iż rozplynie się w powietrzu.

Nad kominkiem prosty drewniany zegar głośno odmierzał czas, a na ścianie obok wisiała akwarela przedstawiająca dom, który wydawał się Martinowi znajomy. W ogrodzie stała kobieta obrócona do niego plecami. Czuł, że gdyby tylko się do niego odwróciła, natychmiast by ją rozpoznał.

Inne przedmioty też wyglądały znajomo: duży zielony ceramiczny dzban i kadzielnica w kształcie małego domku. Był też ceramiczny kot, który przyglądał mu się ze znaczącym uśmiechem. Martin nigdy wcześniej tu nie był, więc nie rozumiał, dlaczego te wszystkie rzeczy wydawały mu się znajome. Może był zmęczony i dopadło go *déjà vu*.

Po kolacji siedzieli jeszcze trochę przy piecu i rybak opowiadał, jak każdego dnia wyprawia się po ryby-myśli. Na głębszych wodach riasowych można było znaleźć dużo większe sztuki, całe teoretyczne koncepcje pływające w ławicach.

– To kraina idei – powiedział rzeczowym tonem. – Nawet jaskółki i drozdy na niebie to drobne fantazyjne myśli. Możesz złapać jaskółkę i przypomnieć sobie coś, o czym zapomniałeś; albo wpaść na uroczy pomysł, który nigdy wcześniej nie przyszedłby ci do głowy.

– Ty... ty przybyłeś ze świata działania, gdzie rzeczy się dzieją, a nie tylko się o nich rozmawia.

– A Podłóżko? Co to za świat?

– Nie wiem. Może świat strachu. Świat ciemności, gdzie wszystko zawsze może pójść nie tak.

– I tam mam się udać, aby odszukać waszą córkę?

Żona rybaka wstała z krzesła, wzięła fotografię znad kominka i podała Martinowi bez

słowa. Zdjęcie przedstawiało młodą jasnowłosą dziewczynę stojącą na wybrzeżu w zwiewnej letniej sukience. Miała blade oczy i przykuwającą wzrok urodę. Jej białe stopy były zagrzebane w piasku. W oddali stado ptaków rozpraszało się po niebie i Martin pomyślał o „uroczych pomysłach, które nigdy wcześniej nie przyszłyby mu do głowy”.

Martin przez chwilę przyglądał się fotografii, po czym ją zwrócił.

– No dobrze – powiedział. – Spróbujmy.

Ratowanie ludzi było w końcu jego obowiązkiem. Nie udało mu się znaleźć chłopca uwięzionego w Załomie Legga. Być może odkupi się, odnajdując Leonorę.

Krótko po jedenastej zaprowadzili go do jej pokoju. Był mały i skromny, pomijając sosnową toaletkę zastawioną lalkami i pluszakami. Proste sosnowe łóżko stało pośrodku dłuższej ściany, nad nim zaś wisiała rycina przedstawiająca park. Martin przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami. Był pewien, że park wyglądał znajomo. Może odwiedził go, kiedy był dzieckiem. Ale tutaj, w krainie myśli?

Żona rybaka zasunęła bawełniane zasłony w czerwoną kratę i rozłożyła pościel.

– Czy macie dalej prześcieradła z nocy, kiedy zniknęła? – spytał Martin.

Skinęła głową i otworzyła małą sosnową skrzynię stojącą u stóp łóżka. Wyciągnęła białe prześcieradło i rozłożyła na łóżku. Jeden koniec był pomięty i poszarpany, jakby wciągnęła go maszyna albo pochwyciła istota co najmniej wielkości tygrysa.

– Nie zrobiłaby tego sama – powiedział rybak. – Nie mogłaby tego zrobić.

– No tak – powiedział Martin. – Ale jeśli nie ona, to co?

\*\*\*

O północy Martin był już w łóżku. Miał na sobie pożyczoną długą, białą koszulę nocną. Chata była pogrążona w ciemności. Wiatr nieustannie łomotał oknem jak ktoś próbujący dostać się do środka. Za wydymami Martin słyszał morze. Zawsze uważał, że nie ma nic samotniejszego od morza nocą.

Nie wiedział, czy wierzy w Podłóżko, czy nie. Nie wiedział nawet, czy wierzy w krainę myśli. Wydawało mu się, że tkwi we śnie – ale jak to możliwe? Łóżko wydawało się rzeczywiste, poduszki też, widział również zarys swoich ubrań do chodzenia po jaskiniach przewieszonych przez oparcie krzesła.

Leżał bez ruchu na plecach przez prawie piętnaście minut. Później uznał, że powinien przenieść się w nogi łóżka. W końcu jeśli Podłóżko nie istniało, groziły mu tylko duchota i gorąco. Uniósł kołdrę, obrócił się i dał pod nią nura.

Natychmiast znalazł się w niskiej torfowej szczelinie gęsto zarośniętej korzeniami drzew. W nozdrza uderzał kwaśny zapach mokrych liści i zgnilizny. Musiał się wcisnąć w szczelinę pod ściółką zagajnika lub lasu. Panowała tam nieprzenikniona ciemność, korzenie wplątywały mu się we włosy i drapały po twarzy. Był pewien, że czuje czarne żuki pełzające po dłoniach i wślazące za kołnierz. Nie miał już na sobie koszuli nocnej. Zamiast tego był ubrany praktycznie, w grubą kraciatą koszulę i wytrzymałe jeansy.

Po czterdziestu lub pięćdziesięciu metrach musiał się przeczołgać pod pnem ogromnego drzewa. Część była całkowicie zbutwiała i kiedy przedzierał się przez czepiające się go korzenie boczne, towarzyszyła mu niepokojąca świadomość, że drzewo waży zapewne kilka ton i jeśli nim zachwieje, to może zwalić się ono w podziemny tunel i zgnieść go na miazgę. Musiał przekopywać się przez złożki torfu i gleby i w pewnym momencie jego palce zagłębiły się w czymś jednocześnie kruchym i oślizgłym. Było to rozkładające się truchło borsuka, który musiał utknąć pod ziemią. Martin zatrzymał się na chwilę, zdyszany i pełen obrzydzenia, ale wtedy usłyszał trzeszczenie potężnego drzewa, a we włosy posypały mu się drobiny wilgotnego torfu. Wiedział, że jeśli szybko się stamtąd nie wydostanie, zostanie pogrzebany żywcem.

Wypełził spod drzewa, odsuwając grubą kotarę kosmatych korzeni i odkrył, że jest na powierzchni. Nadal była noc i panował chłód, jego oddech parował tak samo jak wtedy, gdy w zimowe poranki udawał z przyjaciółmi, że palą papierosy, czekając na autobus do szkoły. Kiedy to było? Wczoraj? A może miesiące temu? Czy nawet lata?

Stał w lesie i księżyc nie świecił, a mimo to dziwna poświata oświetlała otoczenie. Wyobraził sobie, że pomiędzy drzewami wylądowali obcy. Potężny statek kosmiczny pełen ciasnych, skomplikowanych kabin, w których mechanik mógłby się zgubić na długie miesiące, przeciskając się przez kanciaste przegrody i nieprawdopodobnie wąskie korytarze serwisowe.

Las był cichy. Nie brzęczały żadne owady. Wiatr nie potrząsał drzewami. Słysząc było tylko kroki przedzierającego się ostrożnie przez krzewy Martina, niepewnego, dokąd powinien się kierować. Mimo to zdawało mu się, że idzie we właściwą stronę. Czuł się przyciągany: niemal magnetycznie, jak drżąca igła kompasu. Zagłębiał się coraz bardziej w świat Podłóżka: świat duchoty i klaustrofobii, świat, w którym większość ludzi nie byłaby w stanie nawet oddychać. Dla niego świat ten jednak oznaczał bliskość i całkowite bezpieczeństwo.

Gałęzie nad nim były splecione tak gęsto, że nie widać było nieba. Mogło tam świecić słońce, ale w lesie zawsze panowała noc.

Błąkał się przez ponad pół godziny. Co jakiś czas przystawał i nasłuchiwał, ale las milczał uparcie. W czasie wędrówki Martin zdał sobie sprawę, że kątem oka dostrzega coś migoczącego blado między drzewami. Przystanął znowu i obejrzał się, ale czymkolwiek to było – zniknęło.

– Jest tam kto? – zawołał, ale napierające zewsząd drzewa zdusiły jego głos. Nikt nie odpowiedział, ale teraz Martin miał już pewność, że słyszy szelest suchych liści, ciche łamanie gałązek. Był pewien, że słyszy czyjś oddech.

Ruszył dalej świadomy bladej postaci podążającej za nim niczym papierowa latarnia na kij, przemykającej od drzewa do drzewa tuż poza zasięgiem wzroku. Ale choć postać pozostawała nieuchwytna, robiła coraz więcej hałasu, brała krótkie, gwałtowne oddechy, coraz szybciej i szybciej szurła stopami po leśnym poszyciu.

Nagle coś złapało Martina za rękaw – dłoń, a może szpon – i rozdarło materiał. Odwrócił się i niemal stracił równowagę. Bardzo blisko niego w fosforescencyjnej poświacie stała szesnasto-, może siedemnastoletnia dziewczyna, bardzo drobna i blada. Jej potargane włosy przypominały siano i tworzyły potężne gniazdo przystrojone cierniami, jemiolą, mchem i lśniącymi czerwonymi jagodami. Jej tęczały były ciemnoszare – nocne oczy o wielkich czarnych źrenicach. Oczy widzące w ciemnościach. Miała zmizerniałą twarz, ale była też oszałamiająco piękna. To przez jej białą jak śnieg skórę Martinowi wydawało się, że podąża za nim papierowa latarnia.

Jej strój był niezwykle i podniecający. Miała na sobie krótką bluzkę wykonaną z setek pozwijanych falbanek z brudnej, poszarpanej koronki. Zdawało się, że każda falbanka jest przystrojona koralikiem, medalionem, króliczą łapką albo ptaszkiem z folii aluminiowej. Ale bluzka sięgała jej tylko do pępka i nie miała na sobie nic więcej. Jej stopy były brudne, a uda pomazane błotem.

– Czego szukasz? – spytała cichym głosem, sepleniąc.

Martin był tak zmieszany i zawstydzony jej półnagością, że się odwrócił.

– Szukam tylko pewnej osoby.

– Nikt tu nie szuka n i k o g o . Jesteśmy w Podlóżku.

– Cóż, j a akurat kogoś szukam. Dziewczyny o imieniu Leonora.

– Dziewczyny, która wyszła spod drzew?

– Przypuszczam, że tak.

– Widzieliśmy, jak szła tędy. Szukała tego, co sprawia, że się boi. Ale tutaj tego nie znajdzie.

– Myślałem, że to kraina strachu.

– Och, to prawda. Ale jest różnica między strachem a tym, co sprawia, że się boisz, czyż nie?

– Nie rozumiem.

– To łatwe. Strach przed ciemnością to tylko strach. Nie jest prawdziwy. Ale co z rzeczami, które naprawdę kryją się w ciemności? Co z płaszczem na oparciu krzesła, który wcale nie jest płaszczem? Co z umarłym przyjacielem, który stoi w kącie przy szafie, czekając, aż się obudzisz?

– Więc czego szuka Leonora?

– To zależy, co ją przerażało, prawda? Ale sądząc po kierunku, w którym się udała, zmierzała do Podpodłóżka. Tam mieszkają najmroczniejsze istoty.

– Pokażesz mi drogę?

Dziewczyna potrząsnęła głową tak stanowczo, że zagrzechotały jej koraliki i zatrzępotały wstążki.

– Nie wiesz, czym są najmroczniejsze istoty, prawda? – Zasłoniła twarz rękami i rozchyliła lekko palce, tak że widać było tylko jej oczy. – Najmroczniejsze istoty są najbardziej przerażające; a kiedy odwiedzisz je w Podpodłóżku, będą wiedzieć, skąd przyszedłeś, będą w stanie cię wywęszyć i pójdą za tobą z powrotem.

– Nadal muszę znaleźć Leonorę – powiedział Martin. – Obiecałem.

Dziewczyna spoglądała na niego bardzo długo bez słowa, jakby była pewna, że już nigdy go nie zobaczy, i chciała zapamiętać, jak wyglądał. Potem odwróciła się i skinęła dłonią, by poszedł za nią.

Szli przez las kolejne dwadzieścia minut. Gałęzie robiły się coraz gęstsze i ostrzejsze, policzki i uszy Martina były mocno podrapane. Mimo to, osłaniając ramionami oczy, podążał za chudą, bladą dziewczyną, która prowadziła go coraz głębiej w las. Idąc, śpiewała piskliwie piosenkę.

*Dzień wdział przebranie*

*Nosi twarz, której nie poznaję*

*Pierścienie na palcach, w oczach jedwabne rozstaje*

W końcu dotarli do niewielkiej polany. Po jednej stronie spiętrzoną ziemię porastał gęsty, wilgotny, zielony mech. Dziewczyna bez wahania schyliła się i uniosła jeden kraniec mchu niczym pierzynę, odsłaniając ciemne, pełne wijących się korzeni wnętrze.

– Tam? – spytał z przestraszeniem Martin.



Dziewczyna skinęła głową.

– Ale pamiętaj, co powiedziałam. Gdy je znajdziesz, pójdą za tobą z powrotem. Tak już jest, kiedy szukasz najmroczniejszych istot.

– Mimo wszystko obiecałem.

– Tak. Ale zastanów się, komu obiecałeś i dlaczego. Zastanów się, kim może być Leonora i kim ja jestem. I co tu właściwie robisz.

– Nie wiem – przyznał i była to prawda.

Podczas gdy dziewczyna trzymała kobierzec z mchu tak wysoko, jak była w stanie, on wspiął się ze swojej strony i wsunął podeń stopami naprzód, jakby wsuwał się pod pierzynę. Korzenie objęły go, wzięły w ramiona niczym kobiety o smukłych palcach i wkrótce był zagrzebany w omszałym kopcu po szyję. Dziewczyna uklękła obok z twarzą spokojną i pełną żalu. Z jakiegoś powodu jej nagość już go nie zawstydziała. Było tak, jakby znał ją zbyt dobrze. Nic już nie mówiąc, zakryła mu twarz kobiercem i jego świat wypełniła ciemność.

Wziął głęboki, smakujący stęchlizną oddech, po czym zaczął czołgać się w głąb. Z początku przesuwiał się poziomo, ale wkrótce dotarł do miejsca, gdzie ziemia opadała gwałtownie w całkowitą czerń. Wydało mu się, że czuje słaby podmuch wiatru i słyszy głucho uderzenia i stukania. To musiało być to: kraniec Podlóżka, gdzie zaczynało się Podpodlóżko. Siedlisko najmroczniejszych istot. Nie tylko strachu, lecz także rzeczywistości.

Po raz pierwszy, odkąd wyruszył na misję ratunkową, poczuł pokusę, żeby zawrócić. Gdyby wypełził teraz spod kobierca mchu i wrócił przez las, najmroczniejsze istoty nie dowiedziałyby się, że tu był. Ale wiedział, że musi iść dalej. Kiedy już zagłębił się w łóżko, Podlóżko i Podpodlóżko, kłamka zapadła.

Przerzucił nogi przez krawędź urwiska, ściskając w obu dłoniach korzenie wyrastające z gleby jak włosy na głowie olbrzyma. Kawałek po kawałku opuszczał się w dół po ścianie urwiska, ślizgając się butami po torfie i zrzucając w dół głośnie kaskady ziemi i kamyków. Najbardziej przerażające w zejściu było to, że niczego nie widział. Nie widział nawet, ile mu jeszcze zostało. Urwisko mogło się równie dobrze nigdy nie skończyć.

Za każdym razem, gdy ścisnął korzeń, zdzierał jego włóknistą wierzchnią warstwę i wkrótce jego ręce były śliskie od żywicy.

Uderzenia w dole stały się o wiele głośniejsze, słyszał też echa i echa ech.

Schwycił potężny pionowy korzeń i natychmiast ręka mu się omsknęła. Próbował złapać się garści mniejszych korzeni, ale wszystkie się oderwały z odgłosem rozdzierania przegniłej zasłony. Próbował złapać się samej gleby, ale nie udało mu się powstrzymać

upadku.

„Zaraz umrę” – pomyślał.

Spadł ciężko przez wilgotne sklepienie z listew pokrytych tynkiem. Uderzył niezgrabnie o zawilgocony materac, po czym stoczył się na wyłożoną moką wykładziną podłogę. Przez chwilę leżał na boku bez tchu, ale potem udało mu się obrócić i unieść na kolana. Był w sypialni – sypialni, którą rozpoznawał, chociaż tapeta była zapleśniała i odchodziła płatami, a drzwi szafy odpadały z zawiasów, odsłaniając rząd pustych wieszaków.

Wstał i podszedł do okna. Z początku myślał, że jest noc, później zdał sobie sprawę, że okno jest kompletnie zasypane torfem. Sypialnia była zakopana głęboko pod ziemią.

Powoli zaczynała ogarniać go panika. Co, jeśli nie uda mu się stąd wydostać? Co, jeśli będzie musiał spędzić resztę życia pogrzebany głęboko pod powierzchnią, pod niezliczonymi warstwami ziemi, mchu i duszących koców? Próbował wymyślić następny krok, ale uderzenia było teraz tak głośnie, że podłoga drżała, a wieszaki w szafie podzwaniały, objijając się o siebie.

Musiał się opanować. W końcu był ekspertem: w pełni wyszkolonym grotolazem z trzydziestoletnim doświadczeniem. Jego najważniejszym celem było znalezienie Leonory i sprawdzenie, jak trudno będzie zabrać ją na szczyt zbocza. Może z Podpodłóżka wiodła jakaś inna droga, niewymagająca dwudziestu lub trzydziestu metrów niebezpiecznej wspinaczki?

Otworzył drzwi sypialni i stanął w długim korytarzu wyłożonym błyszczącym linoleum. Po bokach ciągnęły się rzędy drzwi; ściany były pomalowane do połowy beżową farbą, jak w szkole lub szpitalu. Na samym końcu korytarza wisiała jedna goła żarówka, a w jej świetle stała dziewczyna w długiej białej koszuli nocnej. Jej jasne włosy unosiły się w powiewach niewyczuwalnego wiatru, a twarz była tak blada, jakby wyrzeźbiono ją z kredy.

Rąbek jej koszuli nocnej był podarty na strzępy i zbryzgany krwią. Z dziko poszarpanych łydek skóra zwisała pasami, a krew zalewała podłogę.

– Leonora? – spytał Martin, za cicho, żeby dziewczyna go słyszała. Powtórzył: – Leonora!

Zrobiła jeden posuwisty krok w jego stronę, potem kolejny, ale później zatrzymała się i oparła o ścianę. To była ta sama Leonora, której fotografię widział w chacie rybaka, ale starsza o trzy lub cztery lata, może więcej.

Martin ruszył w jej stronę. Drzwi otwierały się same, kiedy je mijał. Uderzenia były teraz ogłuszające, ale w pokojach nikogo nie było, choć widział w środku fotele, kanapy, stoliki do kawy i obrazki na ścianach. Wyglądały jak dekoracje z czyjś życia rok po roku,

dekada po dekadzie.

– Leonora? – spytał i złapał ją w ramiona. Była bardzo zimna i targały nią dreszcze. – Chodź, Leonoro. Zabiorę cię do domu.

– Nie ma stąd ucieczki – wyszeptała słabym głosem. – Najmroczniejsze istoty nadchodzą i nie ma przed nimi ucieczki.

– Zawsze jest jakieś wyjście. Chodź, poniosę cię.

– Nie ma ucieczki! – wykrzyczała mu prosto w twarz. – Jesteśmy za głęboko i nie ma stąd wyjścia!

– Uspokój się! – odkrzyknął. – Jeśli wrócimy do sypialni, znajdziemy sposób, żeby wspiąć się z powrotem do Podłóżka! A teraz chodź, poniosę cię!

Schylił się nieco i zarzucił ją sobie na ramiona. Prawie nic nie ważyła. Jej stopy były strasznie poranione. Dwa palce trzymały się wyłącznie na paśmie skóry i krew kapała obficie na dżinsy Martina.

W miarę jak posuwali się korytarzem, drzwi zatrzaśkiwały się same, tak jak wcześniej się otwierały. Brakowało im ciągle dziesięciu lub jedenastu metrów do drzwi sypialni, gdy Leonora ścisnęła go za gardło, prawie go dusząc, i wrzasnęła:

– Są tu! Najmroczniejsze istoty! Idą za nami!

Martin odwrócił się w momencie, kiedy żarówka na końcu korytarza eksplodowała. W ostatniej chwili, gdy było jasno, zobaczył jednak coś straszliwego. Wyglądało jak wysoki, chudy mężczyzna w szarym kapturze mnicha. Jego twarz była idealna niczym figura świętego. Idealna z wyjątkiem ust rozciągniętych w pożądliwym uśmiechu odsłaniającym dżunglę ostrych, nierównych zębów. A pod tymi ustami, w kolejnym pożądliwym uśmiechu, drugie usta, z których cieniutki język strzelał to w jedną, to w drugą stronę, jakby nie mógł się już doczekać posiłku.

Istota miała uniesione ramiona, tak że rękawy odsłaniały zakrzywione czarne szpony znajdujące się w miejscu dłoni.

To była jedna z najmroczniejszych istot. Najmroczniejsza istota, której bała się i której musiała stawić czoła Leonora.

W zapadłej nagle ciemności Martin stracił orientację i równowagę. Prawie upuścił Leonorę, ale zdołał ją znowu unieść i zatoczył się w kierunku sypialni. Znalazł drzwi, namacał klamkę i otworzył je, po czym zatrzasnął, gdy weszli, i przekręcił klucz w zamku.

– Szybko! – powiedział. – Będziesz musiała wspiąć się na wezgielnie i przez dziurę w suficie!

Z korytarza dobiegło ich niskie szuranie i przeszywający dźwięk pazurów drapiących

ściany. Drzwi sypialni zatrzęsły się od gwałtownego uderzenia, tynk posypał się z nadproża. Nastąpiło kolejne uderzenie, a potem pazury zaczęły powoli drapać po drzwiach. Martin spojrzął za siebie. Mimo ran na nogach Leonora wspięła się na mosiężną poręcz i próbowała podciągnąć się przez dziurę w uszkodzonym suficie. Wdrapał się na materac, żeby jej pomóc, i kiedy drzwi zatrzęsły się ponownie, udało jej się przecisnąć. Martin podążył za nią, odzierając sobie dłonie na połamanych listwach. Kiedy podciągał nogi, drzwi otwały się z hukiem i zobaczył istotę w szarym kapturze z uniesionymi szponami. Podniosła wzrok i spojrzała na niego, a obydwie pary ust rozwarły się chciwie w szyderczym grymasie.

Wspinaczka w górę zbocza zdawała się trwać miesiące. Martin i Leonora pieli się centymetr za centymetrem po miękkim, sypkim torfie, chwytając się nawet najlichszych korzonków. Kilka razy zjechali z powrotem. Raz po raz spadał na nich deszcz gleby, kamyków i pulpy z liści. Martin musiał wypluwać ją z ust i wycierać z oczu. Przez cały czas mieli świadomość, że najmroczniejsza istota podąża za nimi, głodna i zwycięska, i że będzie za nimi podążać zawsze, gdziekolwiek by nie poszli.

Nieoczekiwanie dotarli do szczytu zbocza. Leonora płakała z bólu i wyczerpania, ale Martin złapał ją za ramię i pociągnął przez korzenie i miękką, ustępującą pod naporem dłoni ziemię, aż w końcu dotarli do kobierca z mchu. Uniósł go drżącą z wysiłku ręką i Leonora wyszła na polanę. Martin, dysząc ze zmęczenia, podążył za nią.

Nigdzie nie było ani śladu leśnej dziewczyny, więc Martin musiał znaleźć drogę powrotną na wycucie. Zarówno on, jak i Leonora byli zbyt wyczerpani, by rozmawiać, ale ramię przy ramieniu przedzierali się przez gęstwinę i nie mieli wątpliwości, że tkwią w tym razem. Uciekli z Podpodłóżka, a teraz wracali przez Podłóżko do światów pełnych światła i świeżego powietrza.

Odnalezienie podziemnej dziury, którą mieli wrócić do świata Leonory, zajęło Martinowi o wiele więcej czasu, niż się spodziewał. Ale silne wycucie kierunku pchało go naprzód: wrażenie, że posuwają się w górę. Kiedy zaczynał już myśleć, że są straceni na dobre, poczuł, że chwyta w palce prześcieradło, a nie ziemię, po czym on i Leonora wygrzebali się z jej rozkopanego łóżka. Jej ojciec siedział obok i kiedy się wynurzyli, uściskał ich oboje i odtańczył krótki dziwny rybacki taniec.

– Sprowadziłeś z powrotem moją Leonorę. Dzielny z ciebie chłopak, naprawdę dzielny z ciebie chłopak.

Martin otarł twarz dłońmi.

– Trzeba będzie opatrzyć jej stopy. Macie tu w pobliżu lekarza?

– Nie, ale mamy rzeżuchę łąkową i nagietek. I mirt na odpędzenie złych snów.  
– Jej palce są niemal oderwane. Potrzebuje szwów. Lekarza.  
– Idea sprawdzi się równie dobrze jak lekarz.  
– I jeszcze jedno – powiedział Martin. – Istota, która ją zraniła... Prawdopodobnie po-  
dąża za nami.

Rybak położył dłoń na ramieniu Martina i skinął głową.

– Zajmiemy się tym, młody człowieku.

\*\*\*

Stanęli więc na brzegu w różowawym blasku wczesnoletniego wieczoru i podłożyli ogień pod łóżkiem Leonory. Spalili je razem z prześcieradłem i pościelą i wypchnęli na morze niczym łódź pogrzebową króla Artura. Płomienie strzelały w niebo jak smocze języki, a kawałki płonącej kołdry wylatywały w powietrze.

Leonora z obandażowanymi stopami stała blisko Martina i trzymała się jego ramienia. Kiedy nadszedł moment jego powrotu, ucałowała go, a jej oczy wypełniły się łzami. Rybak z wdzięcznością uściśnął mu rękę.

– Zawsze pamiętaj – powiedział – to, co się mogło wydarzyć, jest równie ważne jak to, co się wydarzyło.

Martin kiwnął głową; potem ruszył z powrotem wzdłuż wybrzeża do kępiastych łąk, które miały go doprowadzić do Załomu Legga i zalanych jaskiń. Odwrócił się tylko raz, ale było już za ciemno, by zobaczyć cokolwiek poza ogniem z płonącego łóżka Leonory trzysta metrów od brzegu.

\*\*\*

Jego matka gorączkowo odrzuciła rano pościel i znalazła go w nogach łóżka ubranego w piżamę w biało-czerwone prążki, z zimną skórą i ciałem sztywnym od rigor mortis. Nie było ratunku. Lekarz stwierdził, że Martin prawdopodobnie udusił się krótko po północy i w chwili znalezienia przez matkę nie żył już od siedmiu i pół godziny.

Kiedy go skremowano, rozplakała się i powiedziała, że to tak, jakby życie Martina nigdy się nie wydarzyło.

Ale któż mógłby tak powiedzieć? Nie rybak i jego rodzina, którzy wrócili do swej wyimaginowanej chatki i zmówili modlitwę za grotolaza, który uratował ich córkę. Nie dzika,

półnaga dziewczyna idąca przez las, którego nigdy nie było, rozmyślająca o człowieku, który odważył się stawić czoła najmroczniejszym istotom. I nie najstraszliwsza istota, która wychynęła spod mchu i wyłoniła się wreszcie w krainie myśli z dymiącego, na wpół zatopionego łóżka; zakapturzona szara postać w ciemnościach.

Koniec końców nawet nie mama Martina, która po pogrzebie wróciła do sypialni, by rozebrać łóżko.

Zdjęła kołdrę, a potem prześcieradło. Ale właśnie wtedy, gdy ściągała je z samego końca łóżka, zobaczyła sześć hakowatych czarnych kształtów wczepionych w krawędź materaca. Zmarszczyła brwi i obesza łóżko, żeby się im przyjrzeć.

Dopiero z bliska zorientowała się, że były to szpony.

Ostrożnie odstłoniła prześcieradło bardziej. Szpony były przyłączone do dłoni, a dłonie zdawały się znikać w szparze między prześcieradłem a materacem.

To musiał być żart, pomyślała. Jakiś naprawdę chory żart. Nie minął tydzień od śmierci Martina, a ktoś już urządzał sobie szczeniackie, bolesne wygłupy. Jeszcze mocniej odciągnęła prześcieradło i złapała za jeden ze szponów, żeby go wyciągnąć.

Ku jej przerażeniu zamachnął się na nią, rozdzierając wierzch dłoni. Uderzał raz za razem, szarpiąc materac i targając pościel. Wrzasnęła i próbowała uciec, plamiąc prześcieradło krwią. Ale coś wynurzyło się z krańca łóżka w zamieci podartej pianki i rozdartego wypełnienia – coś wysokiego i szarego, z twarzą jak święty i dwiema równoległymi parami ust pełnymi kłów rekina. Postać podnosiła się powoli, aż wreszcie górowała nad nią i zapanował arktyczny chłód. Było tak zimno, że nawet jej oddech parował.

– Są miejsca, których nigdy nie powinno się odwiedzać – wyszeptła istota, przemawiając obydwoma parami ust. – Są rzeczy, o których nigdy nie powinno się myśleć. Są ludzie, których ciekawość zawsze sprowadzi nieszczęście, zwłaszcza na nich samych i na ich bliskich. Nie trzeba szukać swoich strachów. Twoje strachy zawsze za tobą podążą i cię znajdą.

To powiedziawszy, bez żadnego wahania najmroczniejsza istota zamachnęła się prawą łapą jak kot polujący na drozda i rozdarła jej twarz na strzępy.

Nim zdążyła upaść na dywan. Istota atakowała raz za razem, aż cała sypialnia zbryzgana była krwią.

Wtedy postać schyliła się, prawie jakby klękała w uwielbieniu dla swojego okrucieństwa i zachłanności, i mocno schwyciła jej ciało w usta. Powoli znikwała w szczelinie na końcu łóżka. Wciągała kobietę centymetr po centymetrze, wlokąc za sobą obwisłą nogę, bezwładne ramię.

Na końcu przepadła jej lewa dłoń z obrączką na palcu.

Później nie zostało już nic poza rozszarpanym, zakrwawionym łóżkiem w pustej sypialni i cichym dźwiękiem, który mógł być odgłosem wody kapiącej w podziemnych jaskiniach albo szumem morza szepczącego w oddali, albo szelestem liści głęboko w ciemnym lesie.

*Copyright © by Graham Masterton, 2003*

# Wola turystów (Morskie Oko po zmroku)

Marcin Opolski

---

Nie sądzili, że jest to możliwe. A jednak – po zmroku zniknęły wszystkie zaprzęgi konne. Zadzwonili do ratowników, ale TOPR odmówił przysłania furmanki. Podobnie wojsko – oficer dyżurny zasłaniał się brakiem adekwatnego wyposażenia w koszarach. Próbowali wezwać jakiegoś woźnicę przez ÜberGoorala. Niestety, aplikacja wyświetlała komunikat o przerwie technicznej i zapraszała nazajutrz.

Wszyscy zgodnie uznali, że to żadna konserwacja systemu, a zwykła błąka. Lenistwo baców było wprost nie do pomyślenia. Tyle że teraz powożący spokojnie siedzieli w swoich chatkach popijając wódeczkę, a turyści musieli brnąć po skrzypiącym śniegu i lodzie. Skandal.

Gdy tylko dotrą do cywilizacji, zrobią z tego taką aferę, że władarze Zakopanego spałają się ze wstydu i czym prędzej zwiększą liczbę fiaszów – bo tak miejscowi nazywali wozy, które w tej dziczce zastępowały metro.

\* \* \* \*

Nie mogli dłużej czekać w ciemności. Bali się ruszyć na oślep, ale jeden z nich – zapalony fan survivalu, śledzący wszystkie blogi i profile społecznościowe poświęcone bushcraftowi – zawyrokował, że jak pójdą wzdłuż szlaku, to w końcu dotrą do schroniska. Zaprzęgi konne potrafiły tam trafić, to może i na piechotę da radę.



Ruszyli więc. Szli zwartą grupą już kwadrans, blisko siebie, by nie tracić cennego ciepła. Po drodze nie minęli jeszcze ani jednego przystanku. Ani jednego! Nogi drętwiały, połowa grupy dorobiła się odcisków. Dookoła rozciągały się widoki, które zgodnie z ich wiedzą geograficzną (a jako doświadczeni turyści, którzy niejedno miejsce już zwiedzili, mieli ją całkiem sporą), przypominały połączenie afrykańskiej dżungli z syberyjskim śniegiem. Parli naprzód, a kolejne dziesiątki kilometrów – niemożliwe, aby przebyli mniej – wysysały z nich siły.

I wtedy nagle wszystko się zmieniło.

Coś się poruszyło w krzakach, po czym zaczęli wyłaniać się z nich osobnicy z latarkami, świecąc globtroterom prosto w oczy. Ktoś krzyknął radośnie, lecz chwilę później ucichł, gdy część przybyłych wystąpiła do przodu, trzymając w rękach dziwne przedmioty.

Postacie zaczęły zbliżać się do zaskoczonych i nagle skamieniałych turystów, recytując dziwne mantry. Jedna z nich pozostała z tyłu, podniosła leżącą na poboczu ułamaną gałąź i zaczęła rysować w śniegu dziwne symbole. Gdzieś za plecami wyprawy podniosły się śpiewy w jakimś niezrozumiałym języku – to druga grupa nieznanym odcięła drogę ucieczki. Wszystko zasłoniła mgła.

Nim stracili przytomność, poczuli jeszcze, jak ich kości zaczynają się zmieniać...

\* \* \* \*

– Tak baco, te koniki przekazujemy całkiem za darmo – zapewnił referent. – Zakopane postanowiło zwiększyć liczbę fasiągów, a żeby odbyło się to płynnie, zdobyliśmy dla was kilkadziesiąt zwierząt. Jeszcze mają opory przed chodzeniem, ale nauczą się.

Woźnica spojrzał krytycznie na dziwnie zszokowanego i otumanionego konia, na którego nodze, tuż nad kopytem, widniało znamię przypominające logo marki obuwniczej.

– Co najlepsze – dodał z uśmiechem urzędnik – rozumieją komendy jakby się ludźmi urodziły.

## Puste rękawy

Magdalena Świerczek-Gryboś

---

Głosy, którymi nabrzmiała opita straceńcami góra, przycichły. Słyszę wreszcie własne myśli.

Myślę o tej przegranej w karty.

O tym, jak ona się uśmiechała, gdy mnie pokonała. Nie sądziłem, że jeszcze wywołam uśmiech na jej twarzy; to znaczy, nie sądziłem, że wydarzy się to, zanim pokona mnie szlak. Tak, walczyłem z nim – nie da się wyjść w strzeliste góry, nie pragnąc szczytowania. Ale nie łudziłem się, że wygram. Wszak zwabiły mnie tu głosy.

Po diagnozie i etapie gniewu zacząłem czerpać przyjemność z przegrywania. Tak było pragmatycznie. To dało mi jeszcze trochę czasu.

Puste rękawy, bez żadnych asów, jej doskonałe rozdanie i łobuzerski uśmiech. Z trudem zamykam pokryte ostrymi kryształkami powieki, by lepiej go widzieć. To ten sam, co wtedy, gdy kradliśmy jabłka jako dzieci. Urywaliśmy się z lekcji jako młokosy. Uczyliśmy się twista na pierwszy taniec. Teraz nauczyłem ją czegoś, co nigdy nie było jej pisane, oszukałem los. Wpatruję się w to piękne, ostatnie wspomnienie z nią – gdy uśmiecha się do mojej klęski.

Zimno nie jest już dojmujące, a senne, przyjemne, wręcz rozgrzewające. Ostatni etap. Przypomina leniwe, powolne zasypianie. Jest dokładnie tak, jak obiecały mi lodowate głosy, wdzierające się we mnie wraz z postępem choroby, niesione z gór, potrafiące wpaść jedynie w dziurawe dusze.

Wciąż jeszcze mogę wspominać. Nie było łatwo skłonić ją, by mnie znieawdziła. Już w momencie, gdy usiłowała ratować komary, które gryzły nas na kolonii, przed zwinie-

tą gazetą nauczyciela, wiedziałem, że nie jest zdolna do tej czarnej emocji. To wtedy ją pokochałem. A teraz musiałem ją tego nauczyć, tego, by w tym ostatecznym rozdaniu, z fullem w garści, cieszyła się z огоłocenia mnie ze wszystkiego. Tak było szybciej i łatwiej niż z prawnikiem. Nie miałem czasu.

Łatwiej było nauczyć ją myślenia, które pozwoli wysnuć wniosek, że góra nie tylko coś jej zabrała, lecz także oddała. Sprawiedliwość względem skreślonego rozdziału w życiu.

Przeszłość się rozmywa, to ulga, bo krzywdzenie jej było koszmarem. Wyraźny pozostaje jeszcze ten najśłodszy uśmiech, a potem już ostatnie ze wspomnień, czyli obiecany, niemożliwy w moim stanie do pokonania szlak. Oblodzony, lodowaty i biały jak nic, nie tyle trudny, co szaleńczy, mekka zamaskowanych samobójców. Zasilę zimne jak śmierć tutaj głosy.

Moja choroba by ją wyniszczyła. Mnie by zabiła, a ją porzuciła w zgliszcach. Nienawiść za to zbudowała ją na nowo. Więc ją krzywdziłem, aż mnie znienawidziła. Tak mogła być jeszcze kimś całkiem innym. Z kimś całkiem innym.

To podpowiedziały głosy straceńców. Góra nas kocha. Podsypuje nami głodne korzenie, by się nie zapaść w pustkę zawłaszczzonego przez nas świata.

Zasypiam spokojnie w chłodnych objęciach, z przegraną w zeszywniałej kieszeni.

## Cegła pod twarzą Williama

Rafał Łoboda

---

Siedzę po drugiej stronie biurka pani Godschman i patrzę, jak wertuje moje akta.

– Panie Salt... – mówi tonem dyrektora więzienia lub komendanta obozu koncentracyjnego, co nie odbiega daleko od prawdy. – Musi pan wiedzieć, że zanim oddam dziecko do adopcji, zawsze drobiazgowo, naprawdę drobiazgowo sprawdzam kandydata na rodzica. I musi pan widzieć, że znalazłam u pana kilka niejasności... – zawiesza głos.

Przywołuję swój zawodowy uśmiech i otwieram neseser, który trzymam na kolanach.

– Lubię profesjonalizm – przyznaję. – Sam postąpiłbym podobnie. Ja również zrobiłem pewien wywiad. – Przejeżdżam dłonią po „argumentach” w walizce. Omijam czarny pistolet kalibru dziewięć milimetrów z tłumikiem, pewne kompromitujące zdjęcia syna pani Godschman oraz wyciągi bankowe jej konta. Moi pracodawcy cenią fakt, że zawsze potrafię doskonale odczytać człowieka, dobrać odpowiednią metodę. Wyjmuję owinięty gumką gruby plik banknotów studenckich i kładę na blacie. Pani Godschman wybałusza wściekle oczy, ale zanim zdąży otworzyć usta, zaczynam mówić.

– Pani syn jest w trakcie rozwodu. – Drugi plik trafia na biurko. – A córka wciąż spłaca kredyt studencki i ze wszystkich sił próbuje nie wracać do dziury, w której pani mieszka. – Trzeci plik. – Remont. – Czwarty. – Darowizna na ten cudowny dom dziecka. – Piąty i szósty, po namyśle siódmy. – Potrzeby są ogromne, a oto rozwiązania. Nieopodatkowane, nieznaczone i niekradzione. Chcę Williama, pani Godschman. Dostanę go tak czy inaczej. Zaręczam, że będzie mu ze mną znacznie lepiej niż tutaj. I nie, moje preferencje seksualne nie obejmują dzieci ani nie handluję żywym towarem. Moi pracodawcy dbają o wyjątkowe osoby, rozumie pani? Dlatego William wyjedzie dziś ze mną. Wracamy do... domu.

\*\*\*

Jedziemy niekończącą się nitką autostrady międzystanowej nr 94. Ja prowadzę, wybieram kanał w radiu i czasem śpiewam do piosenek, które znam (mam okropny głos), Wiliam siedzi obok z twarzą przytuloną do okna, podziwia widoki i próbuje na mnie nie patrzeć. Rozumiem go. Jest przerażony i podekscytowany, szczęśliwy, lecz pełen obaw. No i mi nie ufa, co normalne u dzieci, zwłaszcza takich jak Wiliam.

Pierwsze przypadki pojawiły się dwadzieścia pięć lat temu. Dzieci błąkające się po bezdrożach i w środku miast. Nagie, wystraszone...

I nietypowe.

Medyczna nazwa to zespół Langa. Lubię myśleć, że z powodu „Metropolis”. Widziałem ten film, robi wrażenie. Wiliam obraca do mnie głowę. Jej połowa to unerwiony prostokąt pokryty skórą, cegła wtopiona w czaszkę. Glina, lecz żywa. Przyczyna nieznana, nieoperacyjna, teorie mówią o mutacjach, nowej chorobie cywilizacyjnej lub skażeniu środowiskowym. Czasopisma naukowe prześcigały się w domysłach. Większość dzieci z zespołem Langa rodzi się w Pasie Rdzy – północno-wschodniej części USA, gdzie zamiera budowany przez lata przemysł ciężki.

– Dfokąd jedzemy? – Ze względu na deformację ust Will mówi niewyraźnie. Pobyt w domu dziecka musiał być dla niego koszmarem.

– Do domu.

– Dfom – powtarza, jakby smakował to słowo. Ma dwanaście lat, czarną skórę, zielone oko i tak naprawdę nie żyje.

\*\*\*

Nocujemy w tanich, przydrożnych motelach. Zamawiam pizzę, hamburgery, pozwalam dzieciakowi oglądać tyle kablówki, ile ma ochotę. Niech korzysta. Pieniądze nie mają znaczenia. Miło czasem podróżować bez dłoni na pistolecie, bez nasłuchiwania syren radiowozów. Z początku większość dzieciaków znalazła się w ośrodkach medycznych, lecz później podniosła się wrzawa opinii publicznej i trafiły do domów dziecka oraz rodzin zastępczych.

Nocne powietrze pachnie rdzą. Wybieram numer na komórce, bębniąc palcami o szybę zepsutego automatu ze słodyczami.

– Mam chłopca. W piątek będę na miejscu.

Planuję podróż zawczasu i do Detroit docieramy wieczorem. Jest czerwiec, z zachmurzonego nieba siąpi ciepły deszcz. To dobra pora. W kałużach falują obrazy migoczących neonów, podupadłych fabryk, pokrytych sadzą ścian warsztatów. Mijamy wiele sypiących się domów, porzuconych przez ludzi, którzy nie widzieli tutaj przyszłości. Ruiny, cień dawnej potęgi. W gazetach piszą o złych inwestycjach i jeszcze gorszym zarządzaniu, o zmianie na światowych rynkach.

Gówno prawda. To co innego.

Zatrzymuję samochód przy ciemnym zaułku między magazynami. Wsiadam. Po chwili wahania William również wychodzi. Rozgląda się.

– Dfaczego tutaj, wujku?

Kłękam przy nim, kładąc mu dłonie na ramionach. Przywołuję mój wyćwiczony uśmiech.

– Hej! Lubisz gry, Will?

Przytakuje nieśmiało.

– Znam świetną grę – mówię dalej. – Nazywa się „Poszukiwanie domu”. Najlepiej gra się w nią takimi wieczorami. – Wskazuję pogrążone w mroku przejście. – Wejdziemy tam razem. Ty prowadzisz. Zobacz. – Wyjmuję z kieszeni czarną chustę i zawiązuję sobie oczy. – Nic nie widzę, więc musisz mnie zaprowadzić. Nie bój się, nie spotkamy nikogo. Obiecuję. Po prostu musisz iść.

– Nie znam dfrogi.

– Tam nie sposób zabłądzić. Gdziekolwiek pójdziesz, trafisz do celu.

– I tam będzie dfom?

Chwytam jego dłoń. Jest miękka i ciepła.

– Właśnie! Dalej, Will. Ruszajmy!

Boi się, ale nie ma wyboru. Ze wszystkich sił chce mi zaufać, więc robi pierwszy krok w ciemność, ciągnąc mnie za sobą.

Rozmyślałam o paru nocach z pewnej dziewczyną z Cleveland, wspominam maszyny w pewnej odlewni stali jednookiego Granta pod Pittsburghiem... Muszę skupiać się na czymś innym, inaczej wiedziałbym, gdzie jesteśmy.

Znam Detroit: każdą ulicę i zakamarek. W głębi serca Will również, ale jeszcze o tym nie wie, dlatego to zadziała – owo uczucie zagubienia między czarnymi murami, kiedy świat odbity w kałużach przeplata się z prawdziwym, gdy każdy skręt, alejka i zaułek prowadzi w nieznaną. Czas przestaje płynąć normalnym rytmem. Dopiero nie wiedząc, gdzie

jesteś, dokąd zmierzasz, skąd przybywasz ani jak długo wędrujesz, możesz dotrzeć w ukryte miejsca.

Wyczuwam, gdy nie jesteśmy już w Detroit – raczej pod nim, nad nim, kroczymy niewidocznym przejściem. Czym teraz jesteśmy? Plamą ciemności na ścianach zapomnianej stróżówki? Piaskiem pod obłuzowaną płytą chodnikową?

– Miasta mają Serca, Williamie. Nie, nie zwalniam. Idź, po prostu idź tam, gdzie uważasz za słuszne. Nikt nie wie, skąd się biorą Serca. Może powstały, gdy ludzie wzniesli w błocie pierwszy koślawy budynek, a może osady zakładano podświadomie w miejscach występowania Serc? Nieważne.

– Czy Serce to dfom?

Uśmiecham się.

– Tak. Są ludzie, którzy potrafią je znaleźć, a ono daje im moc tworzenia. Lecz czasami znajdzie się ktoś, kto chce więcej i doprowadza do nieszczęścia. Tak stało się tutaj. Serce zostało... uszkodzone, a wraz z nim całe miasto.

William nie odpowiada. Wzdycha z zachwytem, a ja zdejmuję opaskę. Jesteśmy na miejscu – w ogromnej sali przypominającej grecki teatr. Pod kamienną kopułą z szarych kamieni zbierają się cienie. Woń świeżo wypalanej cegły miesza się z zapachem heblowanego drewna. Schodki wyciosane w betonowej posadzce prowadzą na arenę, a tam, pośrodku, unosi się Serce. To kula przygaszonego błękitnego światła, wokół której wiruje sproszkowane szkło i ceglany pył, to maleńka gwiazda uwięziona między omszałymi cegłami, cieniem wieżowców, klaksonami stojących w korku samochodów. Wzywa mnie do siebie; z trudem stoję w miejscu, lecz Will nie ma tej samokontroli. Tak musi być. Idzie wprost do kuli, wyciąga do niej rękę i znika, a blask Serca zdaje się odrobinę jaśniejszy.

Nie kłamałem chłopcu. Wrócił do domu.

\*\*\*

Z każdym zaginionym dzieckiem cierpiącym na zespół Langa jest coraz trudniej. Policja zacznie łączyć fakty, może dadzą dzieciakom ochronę.

Stoję w korku na wyjeździe z Detroit. Gdzieś już nie kruszeje ściana, parę dziur w asfalcie zniknęło w nocy, kilka szyb, które uliczne urwisy wybiły przed tygodniami, znów lśni w czerwcowym słońcu. Miasto nieco odżyło. Troszeczkę, ale jeśli ktoś wie, gdzie patrzeć, zauważy różnicę.

Zmierzam do Waszyngtonu. Moi pracodawcy znaleźli rodzinę zastępczą, która ostatnio przyjęła dziewczynkę z cegłami zamiast kolan. Nie wydostanę ją za pieniądze. W walizce mam trochę chemii, lornetkę, taśmy do krępowania i kilka innych akcesoriów przydatnych w porwaniach.

Samantha musi wrócić do domu.

Byłem pierwszy i obiecałem, że sprowadzę resztę braci i sióstr. Nie należymy tu. Nie powinniśmy chodzić między ludźmi. Byłem pierwszy i będę ostatni, który wróci do Serca.

Zamykam oczy, wciągam głęboko przesycone spalinami powietrze. Robi się gorąco. Zdejmuję bluzę, uważając, by nie podwinąć T-shirta. Nie lubię pokazać swojej klatki piersiowej.

Trudno wytłumaczyć cegłę w miejscu serca.



# Superpozycja sierpniowego snu

Jakub Rewiuk

---

W salonie na podłodze ktoś namalował światło. Obierało dostojnie swoje szlaki, których przebieg wtłoczono w precyzyjnie wyznaczony ciąg liczb. Zupełnie tak samo jak nasze drogi. Ty powinienes bawić się na dywaniku przed telewizorem, a ja siedzieć w bordowym fotelu i szukać tanich lotów do Oslo, na konferencję. Żaden z nas jednak nie gra zgodnie z regułami.

Jedną ręką przesuwam pierogi po odrapanej patelni, a drugą wystawiam przez uchylone okno, co jakiś czas strzepując odruchowo popiół. Chciałbym móc powiedzieć, że robię coś bardziej wiekopomnego w chwili, gdy ginie mój syn, ale rzeczywistość najczęściej jest mocno przewidywalna. Wszelkie prawa probabilistyki mówią, że o siódmej rano, przed pracą, mężczyzna zjada śniadanie i wypala papierosa. Nic innego nie może się dzisiaj wydarzyć.

Nakładam lekko poczerniałe ruskie na talerz z zastawy ślubnej i z szuraniem wytartych kapci kieruję się do salonu. Przechodząc przez niego pozwalam, aby strugi światła wspinały się po spodniach i koszuli. Kłuły w oczy. Lekko przymykam powieki, a potem po omacku rozsuwam rolety, wpuszczając tsunami, która zalewa wyschnięte koryta fotonów i zgniata ciemność mieszkania na piątym piętrze. Wzdycham, a czas biegnie trochę wolniej.

Zanim odłożę talerz na stół, słyszę krzyki dobiegające z parku pod blokiem i sekundę później, chyba niechcący, dostrzegam półotwarte drzwi na balkon. Wiatr. Najpierw czuję chłód na kostkach. To przeciąg. Później zimno płytek pod stopami. To poranek. Wpadam na balkon i potykam się o plastikowe krzeselko, które musiałeś przysunąć do barierki. Stoję tam i powoli wypełnia mnie uczucie, które każe ludziom patrzeć spokojnie wprost w

ogień, gdy już nie ma nadziei na ugaszenie pożaru. Wychylam się i dostrzegam mały punkt na dole. Wygląda jak plama światła zogniskowana przez brązowe szkło na chodniku. Jak stary siniak.

\*

Fizyką zainteresowałem się jakoś pod koniec podstawówki, kiedy Tomek Cichocki pokazał mi, jak się podpała mrówki przy użyciu denka od butelki. Nie mogłem się nadziwić, jakim cudem ten przyjemny blask, który rozgrzewał skórę był w stanie doprowadzić czarne punkciki do przedśmiertnego tańca. Właśnie to światło prowadziło mnie od tamtej pory po wydrapanych na płaszczyźnie czasu ścieżkach. I nigdy nie pozwoliło zboczyć z tej, która miała mnie zaprowadzić na balkon.

Mój ojciec był chyba astronomem. Co jakiś czas, przy obiedzie, dawał znać, że musi wyjechać poza miasto, bo tutaj nie widać dobrze gwiazd przez ten cały dym i zniknął na kilka dni. Najczęściej wracał w nocy, jakby bał się światła, i wślizgiwał się po cichu do mojego pokoju.

– Mogę spać tu dzisiaj, gwiazdeczko? Nie chcę budzić mamy – mówił, a z jego ust wydobywał się odór, który pamiętam pomimo upływu lat. Bardzo nie chciałem go czuć, ale kiwałem głową na tak. Kładł się obok, przysuwał, a jego broda wkluwała się głęboko pod skórę.

Ludzie mówili, że jestem do niego podobny, że dostrzegają to od razu. Miałem nadzieję, że kłamią. On mówił, że jestem jego całym światem. Ja próbowałem układać sobie swój, mały, z daleka.

Później, w jednej z książek o podstawach fizyki przeczytałem dyskusję na temat podobieństwa mikro- i makroskali i próbach unifikacji systemu planetarnego. Gwiazdy i atom miały być zbudowane na tej samej zasadzie. Olbrzymią satysfakcją dała mi informacja, że okazało się to kłamstwem. Mój mały świat mógł nareszcie istnieć niezależnie, w ukryciu, na innych zasadach. Nie musiałem już nigdy być niczyją gwiazdeczką.

Zainteresowałem się jeszcze mocniej tym, czego nie widać i podstawy rewolucji kwantowej ovladnęły mną bez reszty. Poznałem prawa, które nakazywały elektronom trzymać się daleko od centrum atomu, pochłaniać energię i skakać po dalekich orbitach. Przypominały mi one moich przyjaciół, którym zamarzyła się odmienność, gdzieś zamajaczyło widmo wolności i zachłysłeni się tą nową energią. Obserwowałem ich z wrodzoną ciekawością, chociaż w duchu wiedziałem, że biegną tylko tam, gdzie pozwolą im nasze małe

prawa, których jeszcze nie rozumieliśmy. Właściwe ścieżki zostały już dawno temu wytyczone – myślałem. No bo trochę ciężko z paszportem, bo starzy nie dadzą forsy na wyjazd, bo Kaśce już zaczyna być widać brzuch. Co zrobić, Tadek, gdzie mam się teraz podziać, dokąd iść? Wzruszałem ramionami i wracałem do domu.

Zrobiłem się trochę większy i zacząłem zarabiać pierwsze siniaki od ojca. Wybroczyny malowały się na skórze, jak plamy elektronów w doświadczeniu Younga. Nikt ze znajomych nie chciał ich dostrzegać, więc nigdy nie przybierały realnej postaci. Rozmywały się w interferencji kolejnych wiosen na nowohuckim podwórku i mogły być gdziekolwiek indziej, niekoniecznie na moim ciele.

Pamiętam, że jednym z niewielu momentów, kiedy ojciec nie krzyczał, był ten, gdy przynosiłem mu salceson. Bardzo go lubił. W tym sklepie sprzedawała moja przyszła żona i tam też, o ironio, przeszedłem do dorosłości. Urosłem. Chyba trochę dojrzałem i musiałem w końcu zapuścić korzenie. Chcąc nie chcąc, zacząłem być bardziej gwiazdą niż zagubionym elektronem, który może być wszędzie. Gwiazdeczką. Ojciec miał rację.

Wyprowadziłem się od rodziców, ale nie unikałem losu, który spotyka większość gazowych olbrzymów. Zacząłem zapadać się pod własnym ciężarem, gdy na pierwszej wigilii po wyprowadzce zauważyłem siniaki na ciele matki. Rękaw podwinął jej się, podczas nalewania kompotu śliwkowego. Gdy byłem w domu, nigdy nie podnosił na nią ręki. Wiązka jego oddziaływań ogniskowała się na mnie. Zastanawiałem się, czy nie rozumiem praw, rządzących wszechświatem. Przecież nad stołem zderzały się nieustannie spojrzenia, w chaosie, w imię wzrostu entropii. Ale nikt nie widział. Po powrocie czułem wstyd, który wiązać się może jedynie z przegraną.

\*

Urodziłeś się w jasną, sierpniową noc. Śniłem o tobie.

\*

Kochałem cię, chociaż nie do końca pojmowałem to twierdzenie. Może po prostu tak wypadało założyć.

Widywaliśmy się rzadko, jakby tylko na chwilę, pod mikroskopem elektronowym, na czas okresu półrozpadu. Moje małżeństwo nie przetrwało zbyt długo. Nie potrafiłem spać z inną osobą w tym samym łóżku. Kiedy przychodziłeś w nocy ze swoimi koszmarami, za-

wsze kazałem ci wracać do siebie. Wydawało mi się, że im mniejszy będę miał na ciebie wpływ, im mniej napromieniuję cię sobą tym szczęśliwszym dzieckiem się później okażesz.

Na szczęście dużo wyjeżdżałem. Wierzyli we mnie i w to, że jestem inny. Może nawet wyjątkowy. Najpierw Europa, potem coraz więcej Azji. Tam ludzie rozumieli, że nasz świat wcale nie różni się od tej niewyobrażalnej płaszczyzny kwantowej, gdzie czas biegnie w dowolnym kierunku, a kot jest równocześnie żywy i martwy, dopóki nie zajrzemy do pudełka. Dopóki nie odsuniemy rękawa maminej sukienki. Dopóki nie wychylimy się przez balkonową barierkę.

Gdy zginąłeś, poświęciłem się pracy bez reszty. Kolejne granty, przełomowe prace nad wysyłaniem informacji przez skwantowane fotony. Chciałem uciec od myśli i świadomości, że przez moją nieumiejętność przebywania w tym świecie okazałem się jeszcze gorszym ojcem, niż mój własny. Ale to była złudna nadzieja. Im szybciej biegłem, tym bardziej nie wiedziałem, gdzie jestem. Im mocniej chciałem się odnaleźć, tym bardziej nie potrafiłem powiedzieć, dokąd zmierzam. Zasada nieoznaczoności działała doskonale.

Wtedy pojawiło się światełko w tunelu. Udało się nam wysłać skwantowaną informację przez foton z laboratorium na Ibizie na Majorce. Miesiąc później do Madrytu. Po roku nadawaliśmy z prędkością nadświatlną nasze współrzędne z Londynu do Tokio, co w praktyce oznaczało, że równocześnie byliśmy w dwóch miejscach naraz, jeśli tylko ktoś tam, daleko, zechciałby nas zauważyć.

Według jednej z teorii na świecie istnieje tylko jeden elektron, który wędruje w poprzek czasu i może się cofać pod postacią pozytonu. Kierunek poruszania jest zależny wyłącznie od obserwatora i jego położenia. Po dwóch latach byłem gotowy do nadania antycząstek elektronowych. Wpisałem współrzędne czasoprzestrzeni na ten chłodnawy poranek, dziewięć lat temu, gdy smażyłem pierogi w zaniedbanej kuchni i podświadomie próbowałem od ciebie uciec. Bo mnie przerażałeś swoją ufnością. Tym, że chcesz, abym cię przytulał w nocy, gdy nie możesz zasnąć.

\*

Pasma pozytonów przemknęło przez czasoprzestrzeń, jak wyrwa w chodnikowej płycie.

\*

– Mister, panowie już oczekują. – Ostry jak posmak świeżego sake głos wyrwał mnie z zamyślenia. Niechętnie oderwałem głowę znad okularu i skinąłem w stronę Hokkai. Wyszła bez uśmiechu, pozostawiając uchylone drzwi.

Konferencja miała rozpocząć się dwie minuty temu. Punktualność japońskich kolei – pomyślałem i udałem się do sali na końcu korytarza. Drżałem, jak zagubiona fala elektromagnetyczna z Konagawy.

Pokaz już trwał. Cztery rzutniki strzelały fotonami, które pochodziły z odległej przeszłości, a zebrany wewnątrz auli tłum naukowców wpatrywał się w świetlną makietę z wyraźnym poruszeniem. Przypomniałem sobie, kiedy pierwszy raz ujrzałem te promienie, które później miały mi zawsze towarzyszyć i wytyczać moją orbitę. Ból i radość. Mrówki i butelka.

Zebrane postacie-cienie tańczyły. Kreśliły ścieżkę pomiędzy plątaniną nerwowych ruchów jak poparzone czarne punkciki, a ty niezdarnym krokiem zmierzałeś na balkon. Otarłem zagubioną łzę, która zbłądziła na szlaku wzdłuż nosa. Zaraz się pojawię. O jeden moment przeszłości za późno.

Moje wspomnienie przeszłości weszło na scenę, zbudowane ze światła. Zrobiłem kilka niepewnych kroków. Odwróciłem się w kierunku jednego z rzutników i popatrzyłem wprost w źrenicę jasnego snopu. Zalało mnie białe morze i instynktownie zmrużyłem oczy. Pamiętałem to wszystko doskonale.

Na krótki ułamek chwili nasze spojrzenia przecięły się. On jeszcze nie wiedział, ja doskonale zdawałem sobie sprawę, że nasze orbity są skwantowane. Nie możemy podążyć innym szlakiem niż ten, który jest nam przypisany, chociaż odkryłem, że możemy po nim krążyć w koło. Przechadzać się w nieskończoność, oglądając wspomnienie przeszłości zapisane w pozytonach. Od wczoraj zrobiłem to dokładnie sto siedemnaście razy. Zapomniałem, co to sen.

Możemy biec nerwowo na balkon w nadziei, że uda nam się oderwać od orbity, polecieć innym szlakiem. Ale na końcu ty zawsze odnajdujesz strużkę światła prowadzącą do uchylonych drzwi i chłodu poranka.

Pokaz skończył się moim nerwowym biegiem. Zgasły rzutniki, zapaliły się lampy u sufitu, a wraz z nimi odgłos oklasków. Dobiegał falami wprost z najgłębiej ukrytych wnętrzności auli. Ktoś podszedł pogratulować uściskiem dłoni, a ja myślałem o świetle z przeszłości.

Jestem elektronem i podróżuję w obie strony czasu równocześnie, a zarazem tkwię na zawsze w tamtym momencie. Jestem odbiciem tego, na co chce patrzeć obserwator – myślę, a przyjazna dłoń podaje mi kieliszek szampana. Tutaj jestem kimś wielkim. Gwiazdą. Nie będę ich wyprowadzał z błędu.

Uśmiechnąłem się i wzniosłem toast.

Antologia „Zakazane szlaki”  
to projekt charytatywny.

Jeśli uważasz, że to fajna inicjatywa,  
prosimy, zagłęb się na stronę inicjatywy  
**Bezpieczny Kazbek**  
i przekaż na jej rzecz dobrowolną darowiznę:

[www.bezpiecznykazbek.org](http://www.bezpiecznykazbek.org)

Mamy nadzieję, że ten e-book  
jest dla Ciebie wart więcej niż dychę ;-)  
W końcu za obiad z dostawą do domu,  
płacisz więcej, prawda? :-)

[www.ZapomnianeSny.pl](http://www.ZapomnianeSny.pl)

## Notatka\_glosowa\_027

Emilian Wojnowski

---

[Początek nagrania]

To już się nagrywa, pani Magdo? A ten mikrofon? Nie będzie szumiało tu na bloku? Proszę tylko o nim nie zapomnieć. Nie wciskać? I tak tymi spuchniętymi paluchami... no dobrze.

Jak powinienem zacząć? Dawno, dawno temu...

[Śmiech]

Powiem pani... Do wszystkich?

Powiem wam, jakie miałem życie. Proste i zarazem nie, dosłownie i w przenośni. Czarno-białe, a jednak czerwono-zielone. Albo zielono-czerwone, jeśli zacząć od koloru, który w nim przeważał. Te kolory... żadne inne, kurwa mać.

Oj, przepraszam.

Całe życie, a raczej odkąd skończyłem dziesięć lat (zresztą, wcześniej człowiek i tak nie zdaje sobie sprawy z własnej egzystencji), widzę na ziemi świetliste ślady: czerwone i zielone. Coś jakby ślady po stopach moczonych w płynnym, naelektryzowanym brokacie.

Chociaż, to zależy.

Od dnia, od pogody, ode mnie. I od podłoża. Rozmywają się na mokrym chodniku, zanikają też na plaży, w wysokiej trawie, a gdy idę ich tropem, zmazują się tak, jakby przykrywał je mój cień, który nie zawsze mnie przecież wyprzedza.



Czasami, gdy nie zwracam na nie uwagi, to nawet ich nie widzę, mimo tego że one tam są. To trochę tak, jak z czubkiem nosa. Każdy go widzi, ale nie u każdego rejestruje go mózg; to tak zwany zespół nieuwagi stronnej, sprawdźcie sobie.

Zielone ślady.

Zawsze idę po zielonych, niekiedy nawet stopa w stopę. A wy, które byście wybrali? Zielone jest cacy, czerwone be. Tak uznał świat, nie ja. Weźmy na przykład taką sygnalizację świetlną. Poziom naładowania baterii. Tabliczki wyjścia ewakuacyjnego. Można by tak długo.

Mama zapisała mnie kiedyś na zajęcia z malowania. Uczyli nas, że zielony to spokój, czerwony wręcz przeciwnie. Tak mi wpojono, ale i od zawsze tak właśnie mówiło mi przeczucie. No i tak, co podkreślam, mówi przecież świat. Nie wiem zatem, czy powinienem się winić za swój konformizm?

Posłuchajcie.

Za małolata graliśmy z Antosiem w piłkę. Tyle lat, a ja nadal nazywam go w myślach Antosiem. Piłka wpadła do sąsiadów. Ja poszedłem z jednej strony, przeskakując przez płot, natomiast Antoś z drugiej, przez furtkę. Byliśmy ciekawi, kto pierwszy ją weźmie — zgadnijcie, komu się udało.

Graliśmy też w chowanego, w lesie, całą ekipą. Niektórzy naprawdę potrafili się zawiązać, mieli nawet specjalne stroje moro czy koce wojskowe, oby tylko się gdzieś wtopić w otoczenie. I pewnego razu dziecinna ambicja przeważyła nad rozsądkiem, na tyle, że się tam zgubiłem, ale wiecie — zielone ślady, no i się udało.

Mówiłem o tym mamie, o tych śladach, które tworzą ścieżki, ale nie traktowała tego poważnie. Ot, zwykły wymysł zwykłego dziecka, tak jak zabawy z wymyślonymi przyjaciółmi. Potem, kiedy umarł tato, zmieniła zdanie. Potem już tylko mówiła, że to dar od Boga, te ślady. Albo że to ojciec mną kieruje. Nie starałem się jej tego tłumaczyć. Po czasie uznała, że to mimo wszystko Bóg, i tego się trzymała.

Jak się gdzieś zgubiłem, zawsze szedłem po zielonych śladach, tak udawało mi się za każdym razem wrócić do domu.

To nie palinopsia. Ja naprawdę zawsze byłem zdrowym dzieckiem. Potem w miarę zdrowym nastolatkiem i dorosłym. Dopiero na starość zdrowie kruszeje.

Gdy dorastałem, jeszcze przed maturą, zdarzało mi się bić w myślach ze światem, przez co zrodziłem w sobie niechęć do czegokolwiek, a to poskutkowało depresją.

Chciałem sobie jakoś pomóc. Często wychodziłem gdzieś pomyśleć. Trochę to pomagało, a trochę nie bardzo. Wyrobiłem w sobie dziwne przekonanie, że jedynym, co pchnie mnie do przodu, będzie ktoś z drugiej strony.

Pragnąłem miłości, zgadza się.

Udałem się więc na wędrówkę zielonym szlakiem. Po jakimś czasie usiadłem na ławce, żeby odetchnąć, a ona — Ida — czego nie zauważyłem, siedziała obok. Nic nadzwyczajnego, a jednak zjawiała się znikąd.

Potem ją zapytałem:

— Idziesz na frytki?

— Ida — odpowiedziała, i już wiedziałem, że znalazłem właściwą osobę.

Zapytałem ją, jakie chce, a ona, że małe, no to ja do pani w okienku, że muszą być te największe. Musiałem to powtórzyć, bo przez ulicę obok gnały jakieś karetki i inne koguty, więc ja głośno, niemal krzyząc, rzuciłem: MEGA DUŻE! Ujęło to Idę, a ona mnie, dosłownie i w przenośni, a potem już było z górki.

W podróż poślubną pojechaliśmy do Tajlandii.

Te złote świątynie, te ryneczki pełne przypraw, te wyspy ze swoimi labiryntami podwodnych jaskiń — chciałem to wszystko zobaczyć, szczególnie to, czego zazwyczaj się nie pokazuje.

Ida została na plaży, a ja poszedłem nurkować, tak o, bez przygotowania i za pół darmo. Co mogłoby się wydarzyć w tak ciepłej krainie, gdzie ludzie nawet nie potrafią się porządnie pokłócić?

Nurkując, zapuściłem się w jakąś jaskinię, przekonany o tym, że można wpłynąć sobie w każdą, tak o. Początkujący nurek nie zdaje sobie sprawy ze złożoności systemu jaskiń. Słowem, zabłądziłem. I, spanikowany, tylko czekałem, aż zabraknie mi tlenu. W końcu spłynąłem na dno i wyteżyłem wzrok, tak by zobaczyć ślady. Były niewyraźne, ale dzięki nim się stamtąd wydostałem. Na powierzchni kilkoro ludzi zaczęło panikować, może komuś właśnie przydarzyło się to, co i mnie.

Po powrocie myślałem, co zrobić, żeby moje życie było bardziej kompletne. Słowem, praca. Ale jaka? Najpierw pracowałem dla Nintendo, ale tam... ech, jebać cię Michelle, przez ciebie nienawidzę już pokemonów.

Byłem też członkiem załogi okrętu podwodnego, starszego ode mnie... w sumie to od każdego, kto na nim pływał. Pewnego dnia, w stoczni, mieliśmy zainstalować nowy sprzęt. Mniejsza o szczegóły. Trzeba było przewiercić kadłub. W piątek po południu pracownik stoczni wywiercił otwór pilotażowy o średnicy jednej ósmej cala; miał wrócić w po-

niedziątek, żeby dokończyć robotę, tyle że go przenieśli, więc na jakiś czas zakleili dziurę srebrną taśmą, a taśmę spryskali farbą.

Wiecie, jak głęboko może zanurzyć się statek z dziurą zaklejoną kawałkiem taśmy pokrytej farbą? Na jakieś sześćdziesiąt metrów. Tak, przeżyliśmy — i ślady wiedziały, że przeżyję — ale nigdy potem już nie pływałem.

W końcu trafiłem do firmy, w której, w zabezpieczonych pomieszczeniach przypominających sale kinowe, oglądałem przedpremierowo największe hity kinowe, żeby upewnić się, czy napisy i dźwięk są zsynchronizowane, czy nie ma uszkodzeń obrazu itp. Tam zostałem na długo; to mi dało stabilizację i satysfakcję, a także spokój. Chyba nie muszę wam mówić, jak tam trafiłem? Tak, kiedy zaczynało brakować mi pieniędzy na spłatę kredytu hipotecznego, wybrałem się na długi spacer po zielonych śladach.

Miałem za sobą już sporo, całe to dzieciństwo (nie mylić z męczeństwo), nastoletniość, szkołę, pracę, miłość, więc teraz wzięło mnie na to trywialne szukanie sensu w życiu.

Przeczytałem o tym trochę książek, mniej lub bardziej mądrych. Dla niektórych sensem życia będzie miażdżenie wrogów, patrzenie, jak szczeną, i słuchanie lamentu ich kobiet i dzieci. Dla innych będzie to czynienie dobra, nawet małego. Nikt wam na to pytanie nie odpowie. Gdyby w pokoju znajdowało się pięciu filozofów, którzy mieliby na to znaleźć odpowiedź, nie byłoby w stanie nawet zgodzić się co do tego, że w pokoju znajduje się pięciu filozofów, a co dopiero mówić o sensie życia — każdy ma swój, swoją prawdę i swoje życie, a moim życiem, moją prawdą i sensem były te ślady.

Ale nie zielone.

Tak sobie pomyślałem — że nie zielone — ponieważ, pomimo tych wszystkich sukcesów, wydawało mi się, że moje życie jest puste, dlatego musiałem wkroczyć na czerwoną ścieżkę.

Tak po prostu czułem, nie umiem tego wytłumaczyć, okay?

Pewnego dnia wyszedłem z psem przed blok. I udałem się czerwoną ścieżką. Do zaułku, gdzie inne psy zapędziły kota — i by go rozerwały, gdybym nie ruszył na nich ze swoim bloodhoundem.

To było tam, stąd będzie nawet widać, jak podejdzie pani do krańca dachu.

Jak się później dowiedziałem, to był kot Sanczo — jedyna motywacja pewnej starszej pani, żeby wstawać z łóżka i nie pozwolić na to, by już do końca ogarnął ją paraliż po wypadku w górach.

I wie pani co, pani Magdo? Przepraszam za te łzy, ale...

Tak sobie myślę.

Gdybym wtedy poszedł z Antosiem po czerwonych śladach, nie musiałby do końca życia męczyć się z przegryzioną krtanią. Gdybym udał się w lesie czerwonym szlakiem, wyprowadziłbym stamtąd dzieci całe i zdrowe, a tak... dwójkę z nich znaleziono dopiero po tygodniu. Tak, martwych. I gdybym wtedy, na wakacjach w Tajlandii, popłynął w jaskini czerwoną ścieżką, mógłbym uratować kilkoro turystów.

Tych sytuacji było więcej, no ale to tak w skrócie.

Pani Magdo, to nie chodzi o to, żeby nie chodzić po zielonym szlaku, ale o to, żeby nie chodzić *tylko* po nim. Kroki z przeszłości odbijają się najgłośniejszym echem żalu tam, gdzie ślady na ścieżce, skierowane zawsze „w tę samą stronę”, nigdy nie odważyły się zmienić kierunku.

Rozumie pani?

Pamięta pani owocożelki, takie kolorowe, uśmiechnięte? Bardzo słodziutkie. Uwielbiałem je. Wiśniowe, cytrynowe, winogronowe; była też... lukrecja?

Jedząc raz owocożelki, pomyślałem, że lukrecja to nie owoc — to korzeń. Z boku opakowania było napisane: „W przypadku pytań lub uwag zadzwoń pod ten numer”. Zadzwoniłem, zapytałem agenta: „Dlaczego w owocożelkach jest lukrecja?”. Odpowiedział: „To środek czyszczący podniebienie, dzięki niemu reszta owocożelków nadal smakuje tak, jak ten pierwszy”.

To dzięki lukrecji człowiek docenia słodycz.

To dzięki czerwonym śladom miałem odnaleźć siebie, już pani rozumie?

A teraz co? Teraz już ledwo chodzę i, à propos cukierków, mam cukrzycę, a po weekendzie, tak mówią, będą chcieli mi amputować stopy.

To tyle, pani Magdo. Proszę mnie już zostawić i pozwolić mi tu, na dachu, trochę pospacerować. Będę stąpał po odpowiednich śladach, obiecuję. Może nawet puszcze się biegiem.

Biegiem.

Po czerwonych.

[MIKROFON STRZELA, PEKA]

[KONIEC NAGRANIA]

*Dla Magdy ♥*

# Wszech

Anna Sikorska

---

– Hej, Rossko, pójdziemy na wycieczkę?

– Grrrllll!

– Tak, wiem, nie czujesz się najlepiej. Ale może te twoje bóle głowy to z przepracowania? Ha? Połazisz po lesie, to ci przejdzie.

– Nie chcę.

– Chcesz, chcesz. No, wstawaj!

Szczołguję się z siennika. Powoli. Ból nasila się z każdym ruchem, jakby coś wewnątrz mojej czaszki latało luźno.

Korkona nie odpuści. Kiedy już coś sobie postanowi, to zawsze dopina swego. Mogę ją zignorować, albo postawić się, ale... zwykle ma rację. Jakimś niepojętym zmysłem wyczuwa, co jest dobre dla wioski.

Docieram do umywalni, spryskuję twarz wodą.

Wycieczka. To chyba nie najgorsza opcja. Odmiana od codzienności: pracy w fabryce czy spotkań w kilkusobowych grupach, by pograć w kle-kle lub ferdidy. Od naszego prostego, ograniczonego życia. Chwila! Ograniczonego? Dziwne myśli. Mam ich coraz więcej, pojawiają się zniechęca, coraz częściej. Chyba zaczęły się w tym samym czasie, co migreny. Może rzeczywiście za dużo pracuję? Od kilku miesięcy biorę dodatkowe zmiany, bo chcę zaprosić Korkonę, by dzieliła ze mną chatę. Może nawet dorobimy się małego szkraba? Jednak wpierw muszę moje siedlisko przygotować, a to kosztuje. Brakuje mi już niewiele, ale Osseko też patrzy łakomie na Korkonę. Może mam mniej czasu niż zakładałem.

Ech, niech ta wycieczka pomoże, to wrócę na podwójne zmiany i szybciotko będę miał piękną chatę.

\*\*\*

- Aktywowałeś?
- Oczywiście.
- Jesteś pewien? Nic się nie dzieje.
- Trzeba poczekać na pierwsze efekty.
- Oby nie za długo. Apego umiera.

\*\*\*

Wędrujemy przez las. Korkona podskakuje radośnie i komentuje każdy krzaczek. Nie sposób się dziwić tej wesołości, rzadko ma okazję do opuszczenia wioski. Jako czuciela cały czas jest potrzebna. Musi leczyć i decydować, bo w końcu tylko ona została pobłogosławiona przez Wszech. Wiem, że czasem odczuwa zmęczenie, może nawet chęć rzuca-  
nia wszystkiego, ale dość skrzętnie to ukrywa.

Zdecydowałem się na wycieczkę ze względu na nią. Nie oddaliłaby się bez powodu, a potrzebuje czasu z dala od ludzi o wiele bardziej niż ja. Mnie w końcu tylko boli głowa, ona schudła i zmizerniała od czasu ostatniej wędrówki. Nigdy nie chciała o tym rozmawiać, ale widziałem, jak unikalność kładzie się cieniem na całym jej życiu.

Dlaczego odkrywa się przede mną teraz? Czemu pozwala mi zobaczyć tę radość? Nie wiem, może nie potrafi jej ukryć. A może... tylko może... ufa mi bardziej niż innym?

\*\*\*

- Ile mamy czasu, Rossko?
- Dwa dni. Może trzy.
- Jak to może trzy?

Wzruszam ramionami. Bycie tutaj, z nią, wydaje się o wiele ważniejsze niż jakaś tam chata. Jakby tu i teraz było jedynym, co mamy.

- Trzy, bo mogę raz nie pojawić się w robocie.
- Ale przecież...

– Hej, to ty jesteś uzdrowicielką, to ty zaleciłaś mi tę wycieczkę. I pomaga, bóle osłabły.

– O, to dobrze. Widzisz, warto było wstać, co nie? Ale praca...

Patrzę na nią. Odzyskała rumieńce, blask w oczach, powoli się uspokaja, choć paradoksalnie jej energia zdaje się niespożyta. Jak u dziecka. Nie zaprzepaszczę tego dla jakiejś głupiej roboty. W końcu co mi po wspólnym życiu, jeśli Korkona pozostanie cieniem samej siebie? Ale ona nie zrozumie, za bardzo przywykła do pomagania innym, stawiania ich na pierwszym miejscu. Tak więc...

– Praca jak praca. Myślisz, że będę użyteczny, jeśli do końca się nie wyleczę?

Waha się. Wiem, że chce mojego dobra, ale zarazem poczuwa się do obowiązku powrotu. Klepię ją przyjacielsko po ramieniu.

– Nie przejmuj się, może potrzebuję dobrze przespanej nocy? Zdecydujemy jutro rano.

Potakuje niepewnie, ale po chwili podrywa się i biegnie przed siebie, wołając, bym za nią podążył.

Tak naprawdę głowa boli mnie jak nigdy wcześniej. Jakby cały ten las tylko wzmacniał cierpienie. Jakbym szedł w złym kierunku... Skąd taka myśl?

\*\*\*

Przekroczyliśmy rzekę, znaleźliśmy miękki mech na drugim brzegu. Zjedliśmy, leżymy, patrzymy w gwiazdy. Jest cudownie. Korkona przysuwa się do mnie, nieśmiało dotyka mojej dłoni. Przez chwilę nic nie robię, po czym przyciągam ją zdecydowanym ruchem.

\*\*\*

– *Idą w złym kierunku.*

– *Jutro pójdą w dobrym.*

– *Skąd wiesz?*

– *Po to ma dodatkowy układ w głowie, żeby znaleźć drogę.*

– *Znajdzie?*

– *Oj, znajdzie, znajdzie.*

\*\*\*

Wszech, jak to boli! Nie, nie, nie! Dlaczego?! Aaaaa! Nie, nie tam, tam nie idź!

– Co się dzieje? Przecież było już lepiej! Rosko?

– Nie... nie tam.

– Co nie tam? Chcesz iść w innym kierunku?

– Ttak.

– Ale tam nam nie wolno. Nikomu nie wolno.

Czołgam się. Jak to boli! Aaaaa! Czołgam się w stronę zakazanego szlaku, bo każdy inny kierunek mnie zabije. Już dość! Wszech, proszę! Przecież... Chwila... Łupie pod czaszką, ale... Tak, świat już nie wiruje i nie rozmywa się. Głowa jest cała, choć nadal... Niech zbiorę myśli...

Korkona kuca przy mnie, na jej twarzy widzę mieszankę lęku i troski.

Unoszę się i na czworaka pełnę w stronę ścieżki. Jest lepiej. Wszech, jest lepiej! Docieram do pierwszych zarośli, wstaję powoli, trzymając się drzewa. O tak, jak wspaniale! Tępe pulsowanie pod czaszką to nic, to niesamowite, przecudowne nic. Oddycham pełną piersią, z gardła wrywa mi się szloch ulgi. Korkona patrzy na mnie niepewnie; w jej spojrzeniu dostrzegam wzbierający paniczny strach.

– Nie możemy tam pójść. Nie wolno. Jeśli tam pójdziesz, Wszech cię ukaże. Tylko czucielcy mogą tam iść. I tylko dwa razy. Na początku i na końcu. Musisz wrócić.

Jej rozgorączkowany szept przebija się przez mgłę spowijającą moje myśli. Dwa razy? Dlaczego kłamie? A może nie kłamie? Przecież to, że ona chodzi do lasu nie oznacza, że akurat tutaj. Myśli się płaczą, w głowie wiruje, ale prawie nie boli. Pamięć usłużnie podpowiada, że z zakazanych szlaków się nie wraca. Ale przecież tu nie ma żadnych groźnych zwierząt, więc czemu? Skąd wiem, że nie ma? Wszyscy wiedzą. Nikt nigdy ani jednego nie spotkał. To skąd wiemy, że istnieją? Z legend? Chyba tak... Po co mi to? O czym to ja? A tak, trzeba wstać i iść. Przecież stoję.

Odwracam się twarzą do polany, na której spędziliśmy noc. Robię krok, drugi. Neeee! Aaaaa! Zabierzcie to ode mnie!

Wracam pod drzewo. Ból zmniejsza się. Korkona patrzy z niepokojem.

Dość powiedzieć, że próbuję każdego kierunku oprócz zakazanego. Nic z tego, nawet krok głębiej w zarośla przynosi przejmujący ból. Zrezygnowany siadam pod drzewem, Korkona obok mnie. Mówi cicho, z jakimś fatalizmem w głosie.

– Będziesz nowym czucielcem. Może sąsiednia wioska straciła swojego. Ja też tak miałam, gdy Wszech mnie wybrał. Tylko... zapomniałam. Przejdziesz inicjację, a potem po



prostu będziesz wiedział, co robić. Wszech zacznie do ciebie mówić przeczuciami, intuicją, nie słowami. Będziesz czuł bardzo silnie, co trzeba, a czego nie wolno. Przystaniesz pracować w fabryce.

– Korco, a co, jeśli ja tego nie chcę?

Potrząsa głową ze smutkiem.

– To nic nie da. Przecież nie możesz wrócić do wioski.

– Zobaczymy. Posiedzę tutaj.

\*\*\*

– *Podkreć to. Czemu on jest taki uparty?*

– *Może potrzebuje czasu...*

– *Akurat czasu nie mamy. Atego nie żyje! Daj na całą moc!*

\*\*\*

– Aaaaaaaaaa!

Biegnę przez las, w głąb zakazanej ścieżki, byle dalej od bólu. Potykam się raz za razem, opadam z sił, powłóczę nogami... Ale to nic, nic, nic. Nie wrócę, bo tamto... Oślepiłem z bólu. Nagle. Rzuciłem się do ucieczki.

Goni mnie rozgrzane do białości żelazo w mózgu. Wstawaj, Rossko, szybciej, szybciej!

Potykam się i to ratuje mi życie. Leżę na brzegu urwiska. Po drugiej stronie łąd jest niżej. Znajduję się na płaskowyżu otoczonym przepaścią jak fosą. Skąd ja znam takie słowa? Patrzę jak ogłupiały na świat przede mną. To tam są dzikie zwierzęta, tam są zabójcze rośliny, ta rozpadlina oddziela nas od nich, stwarza małą wyspę życia ludzkiego na tym świecie.

Wtedy go dostrzegam. Unosi się z czeluści jak dym, formuje w coś rogatego, nieokreślonego, potem rozmywa, wraca jako coś z mackami, coś... nie, nie tak. Coś z paszczą pełną klów. Ale to tylko dym...

Słyszę jak ktoś biegnie. A tak, Korkona została w tyle. Jakże mało mnie to obchodzi. Nie będę czucielcem. Nie, za chwilę połączę się z Wszechem na zawsze. To tego potrzebuje, to po to nas hoduje. Żeby nas pożerać. Czy naprawdę? Dostrzegam w nim rozbawie-

nie. Prawie nie zauważam, jak Korkona dobiega do mnie, zatrzymuje się... Nie, nie zatrzymuje, usiłuje się zatrzymać, ale źle stawia stopę i znika w przepaści.

Zaskoczenie, złość i ciemność.

\*\*\*

– Co teraz?!

– *Bierz strażniczkę, cyborgizuj, a tamtego przemień w strażnika.*

– *Ale Apego nigdy nie chciał kobiecego organika...*

– *Nie ma wyboru! Za dwadzieścia lat sobie zmieni. Nie guzdraj się! Ona zaraz zdechnie! Pieprzone, kruche zwierzęta!*

– *Zabawny jesteś, przecież twój organik też od nich pochodzi.*

– *Tylko organik, tylko. Do roboty!*

\*\*\*

Budzę się. Czuję Wszech. Mam wracać do domu, przejąć funkcję Korkony. Za chwilę. Teraz czuję. Płynie do mnie wiedza, zrozumienie.

*Po drugiej stronie przepaści jest pięknie, ale śmiertelnie niebezpiecznie. Spróbowaliśmy na początku i prawie wyginęliśmy. Ten płaskowyż to jedyne, co mamy na tej planecie. Fabryka produkuje części do statku, którym być może kiedyś zdołamy odlecieć. Wszech to jego nadzorujący operację komputer. W wioskach hodujemy utrzymaną w niewiedzy masę biologiczną, części zapasowe dla naszych scyborgizowanych ciał...*

Wstręt. Przecież to ja i moja wioska, to my jesteśmy tą biologiczną masą. Myśli się płaczą. Ale... Czy to źle, żyć spokojnym życiem? Pracować, bawić się, śmiać, kochać? Raz na pokolenie poświęcić kogoś, kto zostanie powołany na czuciela-strażnika. Albo członka załogi. Albo...

Ciemność.

Zapomnij.

Ciemność.

Korkona. Odeszła. Odprowadziłem ją do krawędzi i przejąłem jej rolę. Teraz ja pilnuję wioski. Kiedyś znowu pójdę zakazanym szlakiem, a potem połączymy się we Wszechu.

12.08.2023

# Równina Szinear

Michał Paszkowski

---

Ludzie z Bagdadu mówią, że pustynia zaczyna szeptać. Szwajcarzy są mniej skłonni do poetyki, ale też coś przeczuwają. Od trzech dni ziemia odslania, kawałek po kawałku, obietnicę. Możliwe, że taką, na jaką czekali całe życie. Pojawia się obawa przed wstrzymaniem prac i wezwaniem komisji nadzorczej ze stolicy. Wtedy wszystko może pójść źle.

Hannah Arnon, kierująca zespołem Europejczyków, już od wczoraj bada nastroje Irakijczyków. Słucha, obserwuje, jak trzeba, studzi, bagatelizuje. Potem przychodzi etap negocjacji. Żongluje ich własnymi procedurami, umiejętnie przypomina o ich wpadkach i niedociągnięciach. Odwleka. Gra na czas.

Znajdują się sześćset metrów od tak zwanego domu Abrahama, na obrzeżach ruin miasta Ur, dwadzieścia cztery kilometry na zachód od Eufratu. To miał być jej ostatni projekt przed przejściem na emeryturę. Jak opowie później w jednym z wywiadów, zamierzała osiedlić się w rodzinnej Hajfie i zająć się „psuciem krwi lokalnym władzom”. Jej obywatelskie plany pozostały niezrealizowane.

W sumie udaje się odkopać blisko dwieście fragmentów, które ułożą się w osiemnaście glinianych tablic. Całość datowana na siódmy wiek przed naszą erą wkrótce zyskuje miano Wielkiej Mapy Babilonu. Archeologia znów, jak za dawnych czasów, przebija się do masowej wyobraźni bez pośredników z Hollywood. W odróżnieniu od podobnych znalezisk, Mapa nie jest mieszaniną skąpych faktów i wybujałych artystycznych wizji oraz wierzeń. To szczegółowy opis szlaków handlowych z praktycznymi wskazówkami dla ówczesnych ludzi interesu. Mały Google Earth sprzed niemal trzech tysięcy lat. Jest materiałem

na setki prac doktorskich i potencjalnym generatorem zaproszeń na niezliczone odczyty na całym świecie dla każdego członka zespołu Arnon. Jednak to, co w rzeczywistości ukształtuje ich przyszłość, to nie historia zapisana w kartograficznych liniach czy znaczkach pisma klinowego. Prawdziwa zagadka kryje się pomiędzy tymi żłobieniami.

Pełna szczegółów Wielka Mapa Babilonu w środkowej części świeci pustką. Z jakiegoś powodu żyzna równina w centrum ówczesnej Babilonii nie została w żaden sposób oznaczona. Nie wskazano żadnego miasta, a wszystkie drogi zdawały się wyraźnie omijać ten teren. Biała plama odpowiada obszarowi o średnicy około czterdziestu kilometrów, położonemu na wschód od Babilonu i na zachód od rzeki Tygrys. Ponad wiek prac archeologicznych przyniósł wiedzę o tym, jak intensywne było życie ludzi na tym terenie. Ta pustka na tablicach z Ur przypomni wkrótce wszystkim, że w każdej historii istotne jest to, co widać, oraz to, czego nie widać.

### **Bramy waszego boga**

To, co inni nazwaliby instynktem badacza albo po prostu potrzebą domknięcia układanki, dla Arnon było pretekstem do ucieczki od emerytury. Nie obyło się bez wsparcia naukowców z Narodowego Centrum Badań Archeologicznych w Bagdadzie. Przez pół roku przeanalizowali dane z blisko setki wykopalisk z obszaru białej plamy. Wyizolowano obiekty datowane na siódmy wiek przed naszą erą. Jednak to, co znaleziono, nie wyróżniało się spośród innych znalezisk na terenie Mezopotamii. Podobne ślady osadnictwa, rolnictwa, kultów, wojskowości. Wiemy, że w „pustym” sektorze w tamtym czasie prawdopodobnie eksploatowano bazalt, piaskowiec oraz naturalny asfalt. To wszystko nie znalazło się jednak na Wielkiej Mapie Babilonu.

Może kupcy, dla których stworzono Mapę, nie specjalizowali się akurat w towarach budowlanych. Może cały ten obszar należał do jakiegoś izolującego się plemienia. A może kupcy ci nie byli aż tak pragmatyczni i przypisywali tym terenom jakieś mityczne właściwości, z powodu których należało je omijać.

W tym momencie opowieści pojawia się nam Kanadyjczyk Oliver Labrosse i jego Logic.Voyage. Z Arnon poznali się przed kilkoma laty, zupełnie przypadkiem, na stoku narciarskim w szwajcarskim Gstaad. Kiedy zwróciła się do niego z prośbą o pomoc, zgodził się, choć pewnie nie zakładał wtedy jeszcze tak dużego zaangażowania. A to zaczęło rosnąć już od pierwszych spotkań archeologów z inżynierami uczenia maszynowego Logic.Voyage.

Przygotowanie danych i trening modelu sztucznej inteligencji spółki Labrosse'a trwały pięć miesięcy. Wykorzystano w tym procesie między innymi zdjęcia satelitarne środkowego Iraku, dane z badań sejsmicznych, a także rozmaite analizy właściwości geofizycznych. Oczywiście zasilono algorytmy również ogromną liczbą informacji archeologicznych. Wiele z tych danych było kupowanych pod stołem, a część zdobywano dzięki rozmaitym łańcuchom kontaktów. Jedno i drugie miałyby mizerne skutki, gdyby nie osobiste zaangażowanie Labrosse'a. Ostatecznie też był sponsorem przeprowadzonego na bezprecedensową w historii archeologii skalę skanowania terenu technologią airborne LIDAR.

Jeśli pojawia się w tym momencie potrzeba zrozumienia motywów działania Kanadyjczyka, to może zaspokoi ją wzmianka o medialnej burzy, która przeczołgała go kilka miesięcy wcześniej. Opinię publiczną zalano dowodami, jak to między innymi firma Labrosse'a urosła na kontraktach nielegalnego transferu technologii do Rosji. Emocje, jakie wywołały odkrycia z Ur, zdawały się idealnym opatrunkiem wizerunkowym dla poharatanego Logic.Voyage.

Ogrom włożonej pracy i zasobów przyniósł owoce, jakich potrzebowały obie strony. Analiza różnic w składzie gleby, gęstości i właściwościach geofizycznych w obszarze białej plamy dostarczyła wskazówek, dzięki którym odkryto istniejącą w czasach babilońskich pajęczynę szlaków wodnych i lądowych. Główne trasy prowadziły gwiazdziście od porzucanych po tym terenie kopalń oraz od brzegu rzeki Tygrys do punktu znajdującego się niemal w sercu pustki z mapy z Ur. Po wykonaniu w tamtym rejonie ponad dwudziestu przekopów sondujących archeolodzy natrafili na ogromne fundamenty, które światowe media okrzyknęły ruinami wieży Babel.

Ani Arnon, ani nikt z jej współpracowników nie próbował nawet walczyć z taką narracją. Przyklejanie etykiet pochodzących z legend, nawet tak szczególnych, do dość dobrze poznanych realiów historycznych wydawało się zbyt absurdalne. Trzeba jednak przyznać, że – jak wkrótce się okazało – rozmiary odkrytych fundamentów przyćmiewały wszelkie znane z tego czasu budowle, w tym dotychczasowego kandydata na wieżę Babel, czyli ziggurat boga Marduka w Babilonie.

Do największych w dziejach ludzkości prac archeologicznych zgłosili się naukowcy z czterdziestu sześciu krajów, posługujących się w sumie – jak ktoś policzył, przeglądając ich biografie – sześćdziesięcioma pięcioma językami. Ostatecznie Irakijczycy zaprosili do udziału w projekcie dwustu sześćdziesięciu archeologów, między innymi z Meksyku, Francji, Egiptu, Indonezji i oczywiście Szwajcarii. Streamingi z „wchodzenia do piwnic wieży Babel” obejrzało łącznie miliard osób. Atmosferę zjednoczenia ludzkości nad miejscem,

gdzie niegdyś podzielił ją Abrahamowy Bóg, budowały kolejne znaleziska, choć z punktu widzenia archeologii nie były one szczególnie odkrywcze: tablice z pismem klinowym opisującym to, jak ludzie wówczas tłumaczyli sobie świat, miejsca pochówków robotników, którzy zginęli przy budowie, narzędzia, obozowiska.

Trzeba też dodać, że sam fakt, iż odkryto nigdy niedokończoną budowlę, również miał swoją rolę w postrzeganiu ruin jako prawdziwej wieży Babel. To, dlaczego jej nie dokończono, być może wyjaśnia epilog tej historii.

O ile dla Arnon wszystko to było nagrodą za pracę naukową całego życia, o tyle dla Olivera Labrosse'a i jego piarowców był to traf w wizerunkowej superloterii. Jako sponsor badań, które doprowadziły do odkrycia, został zaproszony przez irackie Ministerstwo Cyfryzacji do odwiedzenia ruin. Ministerstwo zadbało w ten sposób o pokazanie kraju w kontekście nowych technologii, sam Labrosse zaś zadbał przy okazji o wzmocnienie wizerunku tego, który dba o swoich ludzi. Do Iraku zabrał bowiem cały zespół pracujący przy modelu sztucznej inteligencji – od programistów po speców od głębokich sieci neuronowych. Wycieczka do Iraku poprzedziła coroczną wizytę na AI & Big Data Congress w Stambule, na którą cała ekipa pojechała po otrzeptaniu się z pyłu Babilonu.

### **Incydent na lotnisku Ben Guriona**

W ósmym tygodniu prac archeologicznych Arnon wyjechała z Iraku, by poprowadzić wykład dla doktorantów zaprzyjaźnionego uniwersytetu w Tel-Awii. Dzień później w mediach pojawiła się zaskakująca informacja, że słynna archeolog została zatrzymana na izraelskim lotnisku Ben Guriona. W rzeczywistości zdarzenie trwało niecałe trzy godziny.

Portal IsraNews360 ustalił, że powodem zamieszania były trudności z logicznym odpowiadaniem na pytania strażników. Wydawało się, że kobieta mówi, niespójnie, wtrącając niezrozumiałe określenia, co wywołało podejrzliwość wśród pograniczników. Ostatecznie – mimo iż zapewniała, że czuje się dobrze – została przewieziona do szpitala na obserwację.

Nietypowe zachowanie Arnon nie było odosobnionym przypadkiem. Na stanowiskach archeologicznych w sektorze hiszpańskim, czeskim i amerykańskim wstrzymano prace z powodu „nagłego przemęczenia” personelu. Część irackiej załogi odsunięto od stanowisk pracy ze względu na, jak podejrzewano, zażycie środków psychodelicznych.

Do bardziej nietypowych zdarzeń doszło w zespole Labrosse'a tuż po powrocie do Toronto. Menadżerowie zgłaszali przypadki narastających błędów w tworzonych przez pro-

gramistów kodach. Blisko połowa testerów poprosiła w jednym czasie o wolne. Skarżyli się na zawroty głowy, tymczasem po krótkim wewnętrznym śledztwie okazało się, że mają trudności w porozumiewaniu się z modelem językowym sztucznej inteligencji, którą znali jak własną kieszeń.

Wkrótce u jednego z dyrektorów Logic.Voyage zdiagnozowano afazję Wernickego. Jest to zaburzenie objawiające się problemami z przypominaniem sobie nazw przedmiotów oraz znacznym pogorszeniem rozumienia mowy, w tym przede wszystkim czasowników i rzeczowników. Człowiek ten zachował płynność w artykułowaniu całych zdań, jednak zrozumienie ich sensu stawało się coraz trudniejsze. Wkrótce problem ten dotknął co piątego uczestnika kongresu technologicznego, w którym uczestniczyli pracownicy Logic.Voyage, i co trzeciego członka zespołów archeologicznych pracujących przy odkrytych ruinach.

Wiemy już, że zaburzenia miały charakter wirusowy i odpowiadał za nie nieznaną dotąd patogen wywołujący uszkodzenia w komórkach glejowych oraz połączeniach międzykomórkowych w obszarze Wernickego. Władze irackie z początku zaprzeczały, iż wirus może pochodzić z obszaru wielkich wykopalisk archeologicznych. W końcu jednak prace wstrzymano, a cały teren został odizolowany. Jako chichot historii uznano fakt, że granice zamkniętej strefy pokryły się w siedemdziesięciu procentach z rejonem znanym jako biała plama Wielkiej Mapy Babilonu.

Zarówno u Arnon, jak i u większości innych dotkniętych wirusem osób pełna sprawność komunikacyjna wróciła po krótkiej rehabilitacji. Jednakże większość zainfekowanych specjalistów pracujących z modelami sztucznej inteligencji z nieznanych przyczyn nie odzyskała w pełni predyspozycji zawodowych.

*Sierpień 2023*

# Tylko szal tiulowy na sukni pajęczej<sup>1</sup>

Allister Nelson

Tytuł oryginalny: *My Tippet, Only Tulle* / Przekład: Emilian Wojnowski

---

Powóz zmierza ku wieczności. W zacienionej przestrzeni między Śmiercią a mną jest cicho i ciemno. On ma na sobie wykrochmaloną, Inianą koszulę na guziki z kieszeniami na piersi, ciemne spodnie, granatową kamizelkę i srebrny zegarek kieszonkowy z fazowaną krawędzią, który sprawdza co kwadrans.

– Przyszedł dziś wcześniej, Dziewczyno – mówi Śmierć z kpiącym uśmiechem, który rozświetla mu czarne oczy i włosy.

Sukni, którą mam na sobie, nie powstydziliby się sama dziewczyna Gibsona<sup>2</sup>. Moja bursztynowa skóra lśni jak whiskey z Kentucky, a czarne loki ciasno upięłam w kok typu chignon.

---

<sup>1</sup> To sformułowanie z wiersza Emily Dickinson „Because I could not stop for Death” (479) w przekładzie Ludmiły Marjańskiej (przyp. tłumacza).

<sup>2</sup> Dziewczyna Gibsona (ang. *Gibson Girl*) to stworzona przez rysownika Charlesa Dana Gibsona personifikacja amerykańskiego kobiecego ideału piękna z końca XIX i początków XX wieku (przyp. tłumacza).



Powóz stuka na uliczkach Yorktown wyłożonych muszlami ostryg<sup>3</sup>. Lipcowy upał w Wirginii roku 1893 jest uciążliwy, do tego cuchnie tytoniem od królów plantacji<sup>4</sup> i czerwoną gliną.

Wachluję się ręcznie malowanym weneckim wachlarzem, a następnie nakierowuję go w stronę Śmierci. Uśmiecha się.

– No, Śmierciusiu, będziesz musiał skosztować malinowych ciasteczek z mojego nowego przepisu – tłumaczę. Wyjmuję koszyk piknikowy, w którym mam gęstą śmietanę, masło, świeżo robiony dżem, podplomyki, kanapki, herbatę i lemoniadę z gałązkami lawendy. – Pójdziemy na spacer tam, gdzie zawsze?

Jest północ. Na Drodze Dusz – ciągnącej się przez śmiertelne królestwo niby sieć utkana przez pająka pełznącego w mym cieniu – zawsze jest północ. Urodziłam się ze znamieniem w kształcie klepsydry na policzku, jak czarna wdowa, naznaczona przez samego Śmierciusia. To dziwna rzecz mieć Śmierć za swego Anioła Stróża.

– W wolnej chwili, Delilo – odpowiada czule Śmierć, pomagając mi zejść z powozu jadącego ku wieczności. – Chcę już skosztować twoich wypieków!

Drogą wysłaną kośćmi i jabłkami kierujemy się na tamten brzeg, gdzie anioły na niebie płaczą, figlują i śpiewają, a dusze, jak wygłodniałe pod wieczór psy, ciągną ku szmaragdowym wyspom. Zjawy niedawno zmarłych osób wchodzą jedna po drugiej na jednoosobowe łódki ze złotą; wiosłują małe śmierci, a opalizujące dusze śmieją się, ucztują i tańczą, nurzając stopy w liliowych wodach.

Śmiercius i ja robimy sobie piknik w cieniu szmaragdowej wierzby. Śmierć zaczyna jeść moje malinowe wypieki. Odrobina gęstej śmietany zostaje mu na kościstym policzku.

– Delilo Macon, jak do tej pory to najbardziej udany ze wszystkich twoich wypieków – mówi z radością, zajadając się ciasteczkiem.

Śmierć jest zawsze głodny; wiem o tym aż za dobrze.

– Och, Śmierciusiu, masz trochę na brodzie.

---

<sup>3</sup> Koloniści w Wirginii mieli w zwyczaju jeść ostrygi wylawiane z zatoki Chesapeake, a następnie wykładali nimi drogi (przyp. tłumacza).

<sup>4</sup> Na terenach dzisiejszej Wirginii w celu pozyskania plantatorów tytoniu została ustanowiona przez Anglię Kompanią Wirgińska, za której działania odpowiadał między innymi sam John Rolfe – mąż Pocahontas, słynnej indiańskiej księżniczki plemienia Powhatan. Wówczas bogatych plantatorów nazywało się „królami tytoniu” (ang. *tobacco kings*).

Sięgam po chustę z ręcznie haftowanym wzorem Słońca z karty tarota – uwielbiam wróżyć – i przecieram mu nią usta. Uśmiecha się, ściskając mnie za dłoń.

– Jestem szczególnie niechlujnym obżartuchem. Nic nie jest w stanie mnie nasycić, Delilo. – Muska me odbarwione znamię w kształcie klepsydry pod lewym okiem, pod gąszczem czarnych rzęs. Zatapia palce w popielatobrazowych lokach upiętych w kok, a następnie poprawia bladuróżowy parasol, który daje nam obojgu cień.

– Nawet wiesz nie zaspokoi twego osławionego apetytu? – pytam mojego Anioła Stróża.

Śmierciś uśmiecha się rozbawiony.

– A cóżeś takiego skleciła dziś przy lampeczce absyntu, Lilo?

Wyjmuję notatnik i rozwiązuję skórzany rzemyk.

– Wiesz, Śmierciś, że te wiersze, do których przykładasz rękę, z wyjątkiem przepowiedni, są moim sposobem na życie. Dzięki nim mam na czynsz, na najnowsze sukienki Searsa z Paryża i na drinki w barze. Bardzo potrzebny mi redaktor, czyli ty, i twe doskonałe wycucie słowa.

Śmierciś się śmieje, a śmiech ten rozbrzmiewa jak dzwon. Wszystkie dusze krzyczą z radości na ów klarowny dźwięk, a następnie wzburzony przez chwilę kosmos kontynuuje obrót swych sfer. Elfy i gobliny tańczą, pijąc jeżynowe wino i wymieniając się trefnymi towarami.

– Nie znam się na tworzeniu sztuki czy pisaniu, moja droga. Z tego to powodu jedynie redaguję. Czymże jest Śmierć, jak nie przecinkiem postawionym w odpowiednim miejscu, który łączy nas z czymś więcej? – Śmierciś z szacunkiem bierze mój zeszyt z wierszami, z którego wystaje zakładka, po czym przygryza wargę i zaczyna coś w nim kreślić.

Zniecierpliwiona stukam kolanami pod niebieską sukienką. Swędzi mnie pod gorse-tem. Ale zdejmowanie go przy mężczyźnie – nawet przy moim Aniele Stróżu – byłoby nie-taktowne. Zamiast tego zabieram się za karmienie baśniowych kaczek niedojezdzonymi przez Śmierciś kanapkami przygotowanymi do herbaty.

– Ten jest wyjątkowo błyskotliwy, Lilo – mówi Śmierć, uśmiechając się. – Ale zmienił-  
bym „Bajeczną wieczność” na „Utraconą wieczność”.

– Utraconą? – zastanawiam się. – Ale wieczność to z pewnością bajeczna sprawa!

Przeciąga się, zażywając słońca na brzegu, gdzie promienie farbują niebo na bładuróż.

– Czyżby? Myślę, że niemożność ruszenia w dalszą drogę byłaby przekleństwem. Być tak żywym, jak od momentu, kiedy Bóg tchnął życie w łono kosmosu... choć może ży-

łem i wcześniej... to dziwna rzecz. Nie umierać, nie rosnąć, nie zmieniać się tak cudownie, jak czynią to śmiertelnicy, wydaje się czymś raczej tragicznym. Oddałbym wszystko, by jako ktoś żywy móc przeżyć choć jedną normalną noc.

– Któż inny byłoby wtedy Śmiercią? – Chce mi się płakać, gdy widzę oczyma wyobraźni, że mój najdroższy przyjaciel już nie będzie ze mną kroczył drogą życia. – Jesteś niezastąpiony, Śmiercusi.

Wzrusza ramionami.

– Nie przejmuj się mną, Delilo. To nie tak, że teraz będę się wymykać czarnym dziurom, które są częścią mnie. Niemniej nawet i jedna noc gdzieś indziej niż tu, na Drodze Duszy, w gąszczu harpijich drzew, mogłaby dobrze mi zrobić.

– Ale ty ciągle gdzieś jeździsz – protestuję. – Podróżujesz po świecie, masz wielu przyjaciół od Azji aż po Adriatyk!

Przymyka oczy w zamyśleniu, po czym mówi:

– Tak, ale w oczach moich towarzyszy zawsze jestem zjawą, czymś oderwanym od rzeczywistości. Tylko ty, Delilo Macon, naprawdę mnie rozumiesz. Na każdą Śmierć przypada jedna Dziewczyna. Wszystko we wszechświecie dąży do zachowania równowagi. Potrzebny mi ktoś, kto opowie moją historię, a ty za pomocą swych dźwięcznych wierszy robisz to tak pięknie.

Anioły i dusze zaczynają wygrywać wyjątkowo piękną melodię.

– Śmiercusi, obawiam się, że cię kocham – mówię mu z sercem skrytym w dłoniach.

Nie mam już nic do zaoferowania. Nic do powiedzenia. Złotousta ja milczy.

Nie mam już dokąd uciec.

– Koniec końców w Dziewczynie zawsze budzi się miłość, a Śmierć to uczucie zawsze odwzajemnia. – Uśmiecha się i mówi: – Zatańcz ze mną, Lilo, ma droga przyjaciółko.

Tańczymy. Śmierciusz przywołuje boski chór, schodzą się luminarze, a z nieba zstępuje orkiestra, by ożywić fortepiany i akordeony. Najpierw mazurek, potem skrzypce i w końcu rytmiczny irlandzki jig.

Całujemy się – po raz pierwszy w tym życiu, po raz ostatni w Niebiosach. Za każde Piekło, przez które przeszliśmy. Moja dusza... już na zawsze w objęciach Śmierci.

Tak naprawdę to ja, tchnąwszy życie w jego zegarek, odmierzam teraz czas.

Jestem Terpsychorą wirującą wokół Ojca Czasu.

– Ten pocałunek był wyjątkowo rozkoszny – mówi Śmierć zdyszany. Jego blade policzki są zarumienione. Dłoniami przeciąga mi po znamieniu, po plecach. Dotyka szmarag-

dowej spinki we włosach i drażni me wydatne piersi. – Nie pamiętam, bym kiedykolwiek był całowany tak... namiętnie.

Uśmiecham się i mówię:

– Daj mi swój zegarek kieszonkowy, kochanie.

Zgadza się i pyta:

– Co ty kombinujesz, Delilo?

Depczę zegarek wysokim obcasem, a wówczas zatrzymuje mi się czas.

– Chciałabym być z tobą i żyć tak jak ty zaklęta w czasie, by na tej samotnej drodze móc ci przynajmniej dotrzymać towarzystwa, odziana tylko w szal tiulowy na sukni pajęczej, mój ty drogi przyjacielu.

Kawałki rozdeptanego zegarka wrzucam do morza.

Do oczu napływają mu łzy i Śmierć wybucha dzikim śmiechem, przyciskając mnie do siebie tak, by od razu wsadzić mnie do powozu.

– Żadna z Dziewczyn tego nigdy nie uczyniła, Delilo. Właśnie na nowo wymyślasz zasady mojej gry.

– Zobaczmy, jakich kłopotów ci jeszcze przysporzę, dobrze? Ale najpierw śniadanie. Zrobisz mi swój bajeczny omlet po florencku, a ja skoczę na targ po świeże pomarańcze na sok.

I tak właśnie dla mnie zatrzymał się Śmierć – raz jeden jedyny na wieczność całą. Uprzejmie wziął mnie ze sobą. Czas zamarł na jedno uderzenie jego serca; potem świat zaczął toczyć się dalej, a pasażerka w jego powozie – jego najdroższa Dziewczyna – zatonęła w niepamięci czasu.

Och, i te cuda, które widziałam. Och, i to spustoszenie, które sialiśmy.

Niekończący się czas, Śmierć i Dziewczyna,  
dla siebie w sam raz.

# Wypiętrzenie

Sylwester Gdela

---

To, co Tarris widział przed sobą, w dole zbocza, nie przypominało niczego, co mogłyby wyrzeźbić wiatr i woda, ani czegokolwiek, co zostało wzniesione ludzką ręką. U podstawy wyrastały potężne formacje z kryształów o fantazyjnych kolorach, a na nich wspierał się regularny układ czarnych słupów, niby gigantyczne rusztowanie spowite ciemnymi chmurami na szczycie. Tarris zatrzymał się i westchnął, wspominając słowa Naczelnego Maga Anslyma.

– Rozumiem, czego pragniesz. Musisz jednak się powstrzymać. Kroczę ponad sto lat po tym świecie i nigdy nie widziałem tak dziwnego obiektu. To magia wymykająca się ludzkiemu rozumowi. Anomalia tak potężna, że nikt nie jest w stanie jej okiełznać. Król wkrótce wyda zakaz zbliżania się do kotliny Kilgerath.

– Co będzie grozić za jego złamanie? – zapytał Tarris, spoglądając prosto w oczy Anslyma, pełne bólu mimo stoickiego wyrazu twarzy.

– Kara nie będzie potrzebna – odparł mag. – Samo zbliżanie się tam to igranie ze śmiercią.

Skoro nawet Anslym lękał się tego miejsca, co miał powiedzieć on, gwardzista znający ledwie podstawy zaklęć, nadrabiający braki w talencie uporem? Nogi Tarrisa lekko drżały, jednak zdecydował się postawić kolejny krok, potem jeszcze kilka...

Uderzył go podmuch wiatru. Tarris poczuł, jak magia nasycy powietrze. Świerkowy las porastający kotlinę wcześniej przeistoczył się tu w coś niesamowitego. Drzewa i krzewy nie miały zwyczajnych pni i gałęzi, a były gęstwiną zespolonych ze sobą mieczy, ostrzy giewii i halabard... Prawdziwy bór oręża.

Tarris wstrzymał na chwilę oddech. Widok równie fascynujący, co przerażający. Jak wspomnienie zagorzałej bitwy, która skończyła się znacznymi stratami. Ruszył dalej w dół, po ścieżce prowadzącej wprost na krystaliczną ścianę. Z czasem trakt robił się węższy, a stalowe drzewa rosły coraz gęściej. Ich gałęzie spływały zasychającą krwią, niby żywicą. Gdy w pewnym momencie spojrzął w tył, dokonał przerażającego odkrycia: droga za nim zaczęła się zasklepiać.

Pokręcił głową i brnął dalej, aż dotarł do niewielkiego prześwitu. Za nim rozciągała się ściana przemienionej roślinności. Zdesperowany dobył miecza i próbował rozchłastać gałęzie, lecz bez skutku, tylko krzesał iskry. Spojrzenie za plecy utwierdziło go w przekonaniu, że drzewa zbliżały się bezszelestnie.

Wydawało się, że nie będzie dokąd uciec, nagle jednak Tarris doznał olśnienia. Miał jeszcze jedną możliwość, choć ryzykowną. Schował miecz i przykucnął. Przyłożył jedną dłoń do podłoża, a palce drugiej zgiął lekko, czyniąc gest skupiający.

Pamiętał, jak Venot uczył go zaklęcia lekkiego ciała. Miało pomóc w ściganiu złoczyńców, którzy czasami ratowali się ucieczką po dachach budynków stolicy. Tym razem czar zadziałał silnie jak nigdy dotąd, prawdopodobnie z powodu nasycenia tego miejsca magią.

Ostrza już prawie wbijały się w jego plecak. Ostatnia szansa. Podskoczył z całej siły i ku własnemu zaskoczeniu wznosił się ponad drzewa. Ostrożnie przemieszczał się nad ich wierzchołkami, odbijając się od płaskich części oręża. Nie pamiętał, by kiedykolwiek był tak skupiony. Jeden moment rozproszenia i runąłby w dół.

Po kilkudziesięciu skokach wreszcie przedostał się na drugą stronę lasu, pod krystaliczną grań. Gdy wylądował na ziemi, nagle poczuł przygniatający ciężar, i to nie tylko w ciele. Jego umysł spowiła mgła. Usiadł przy ścianie i pozwolił powiekom opaść. Przypominał sobie lekcje Venota.

– *Korzystanie z magii obarczone jest wysiłkiem umysłu. Dlatego początkujący po rzuceniu kilku wymagających zaklęć często zasypiają na miejscu. Proszę, odejść stąd. To koniec.*

Ostatnie słowa, choć wypowiedziane tym samym głosem, nie były już tylko wspomnieniem. Usłyszał je naprawdę. Gdy otworzył oczy, ujrzał przed sobą sylwetkę, którą tak bardzo pragnął zobaczyć, jednak odmienioną, poszarzałą, półprzeźroczystą jak duch.

– Ven! – krzyknął Tarris.

– Nie możesz mi pomóc – mówił - niewzruszony Venot. – Jestem porażką. Odejść, zanim sprowadzę na ciebie nieszczęście.

Cienista postać maga zniknęła. Może Anslym miał rację i wszelkie wysiłki były próżne.

Anomalia powstała podczas bitwy, jaką Pierwszy Mag Bitewny Venot i jego oddział stoczyli z rdzeniowcami, złośliwymi, półmałpimi demonami zamieszkującymi górskie jaskinie i polującymi na ludzi. Ci, którzy ocaleli, mówili o rzezi, siły wroga były niespotykane liczebne. Prawie wszyscy polegli i wydawało się, że wszystko już stracone, gdy nagle Venot, pojedynkujący się z ogromnym rdzeniowcem, wzniecił wokół siebie wir energii, szybko pochłaniający wszystko dookoła. Magowie z oddziału ocknęli się na granicy anomalii. Po demonach zostały same szczątki, Venot zaś przepadł bez śladu.

Tylko Tarris wierzył jeszcze, że jego ukochany nie zginął i że go odnajdzie, choćby nawet na samym szczycie tego niesłychanego tworu. Czymkolwiek był tamten duch, gwardzista nie posłuchał go. Odpoczął chwilę, zjadł parę płatów suszonego mięsa, po czym zastanowił się nad kolejnymi ruchami. Przyjrzał się krystalicznej ścianie. Uderzył w nią mocno czekaniem, ale nawet jej nie zarysował. Na szczęście powierzchnia nie była idealnie równa. Co kilka metrów bruździły ją wąskie występy. Znów skakanie, tym razem w pionie. Uważnie zaplanował ścieżkę i rzucił zakłęcie lekkiego ciała.

Wciąż piął się w górę, nie myślał o niczym innym, tylko o kolejnym skoku, byle utrzymać skupienie. Szło mu zaskakująco sprawnie; nie wiedział nawet, kiedy pokonał trzy czwarte drogi. Wtedy, gdy na chwilę zatrzymał się i oparł czoło o ścianę, w fioletowym kryształach pojawiła się plama czerni, stopniowo przybierająca kształt człowieka.

– Przyniosę ci zgubę swoją nieudolnością – rozbrzmiał głos Venota.

Duch gwałtownie poruszył się w stronę Tarrisa, ten zachwiał się i odpadł od ściany. Ku własnemu zaskoczeniu natychmiast poczuł twardość kryształu. Przeleciał raptem metr. Tej platformy, dużej na tyle, by zmieścić leżącego człowieka, jeszcze przed chwilą tam nie było. Ktoś musiał czuwać nad gwardzistą, przeciwstawiać się zjawie przypominającej jego męża.

Tarris ponownie rzucił zakłęcie i przebył ostatnią część ściany. Czubek krystalicznej formacji był niemal idealnie płaski. Rozciągał się stąd fantastyczny widok na królestwo, lecz Tarris nie dbał o to. Interesowało go tylko, jak dostać się wyżej, na sam szczyt. Najpierw jednak musiał odpocząć. Okrutnie zmęczony, zasnął od razu, gdy położył głowę na plecaku.

Zbudził się nad ranem i gdy się posilił, wyruszył w kierunku jednego ze słupów tworzących gigantyczne niby-rusztowanie. Dokonał zaskakującego odkrycia: czarny materiał

pulsował, jakby płynęła w nim krew. Pokrywały go też drobne, ostre kolce. Słup nie miał żadnych występów czy nierówności, po których można by się wspiąć.

– Zostaw mnie, proszę.

Znów ta zjawa.

– Nie będę cię słuchał! – odwarknął gwardzista.

– Dlaczego postępujesz wbrew mojej woli, Tarrisie? – zapytał duch. – Dla mnie nie ma już ratunku. Straciłem kontrolę podczas bitwy. Zawiodłem...

Rozpłynął się na wietrze. Tarris pokręcił głową i spojrzał jeszcze raz na słup. Nie mógł wpaść na żaden pomysł na wspinaczkę. Zaciśnął pięści ze wściekłości. Nie dopuszczał do siebie myśli, że to skończy się w taki sposób. Czuł, jak emocje go obezwładniają. Zalała go fala wspomnień. Pierwsze spotkanie z Venotem w królewskim zamku, wspólnie spędzone noce, ceremonia zaślubin, treningi walki i zaklęć...

*– Magia jest powiązana ze stanem umysłu. Skupienie daje przewidywalne rezultaty, ale gdy górę wezmą emocje... Może wydarzyć się katastrofa.*

Nagle obraz sytuacji stał się jaśniejszy. Tamten duch... to naprawdę mógł być jego mąż, a raczej część jego osobowości, skrywana głęboko przed wszystkimi, lecz czasem widoczna. Nieustanne poczucie, że nie jest się wystarczająco dobrym. Wątpienie we własne zdolności. Nienawiść względem samego siebie.

– Kiedy zacząłeś przegrywać walkę z rdzeniowcami... – powiedział Tarris – dałeś się temu ponieść. Uwolniłeś chaos i teraz za to siebie nie cierpisz. – Zamilkł na chwilę, po czym wstał i podszedł do słupa. – Ven, wiem, że tam jesteś. Wiem, że mnie słyszysz. Proszę, nie czuj się winny. Pozwól mi cię zobaczyć.

Cisza.

– Proszę, Ven.

Na słupie zaczęły pojawiać się białe narośle, ukształtowane w sposób, pozwalający się na nich wesprzeć. Tarris nie czekał ani chwili. Zmniejszył swój ciężar zaklęciem. Pogrążony w transie, przemieszczał się w górę konstrukcji, to wspinając się po słupach, to przebiegając po poprzecznych belach, tam gdzie prowadziły go białe wypusty. Nawet chmury się rozstały, by ukazać mu drogę. Powyżej ich linii kolczaste twory zbiegały się w jednym punkcie, jak krokwie wspierające dach stożkowy. Tam, na szczycie, leżał człowiek.

– Venot!

Resztką sił Tarris dotarł na wierzchołek. To co ujrzał, przeraziło go niezmiernie. Cierliste bele, tu już grubości ledwie zwykłych gałęzi drzew, wyrastały ze zmizerniałego, pokrytego czarnymi plamami ciała jego ukochanego.



– Tarris... – Mag z trudem otworzył usta. – Jak zawsze... uparty. Nie chciałem, żebyś widział mnie w takim stanie. Zginęło tylu moich ludzi, a ja nie potrafiłem...

– Przestań. – Gwardzista pogładził twarz męża. – Zrobiłeś, co mogłeś. Wygrałeś tę bitwę. Zgładziłeś rdzeniowców. Raela i Mynn z twojego oddziału przeżyli poryw magii.

– Więc... nie skrzywdziłem ich? Pamiętam tylko, że chciałem odepchnąć od siebie... wszystko. Jak najdalej. By już nigdy więcej nikogo nie zawieść.

– Proszę, wytrzymaj jeszcze. Zaraz odetnę cię od tego szkaradziejstwa i zabiorę do stolicy. Anslym się tobą zajmie.

– To niemożliwe, mój drogi... Wszystko to, co znajduje się pod nami, to część mojego ciała. Mam jeszcze na nie wpływ, jednak moja ludzka forma wkrótce zniknie.

– Dlaczego... – Po policzkach Tarrisa popłynęły łzy.

– Teraz ja powiem, byś siebie nie winił. Tak intensywnej przemiany nie dałoby się odwrócić, lecz twój wysiłek nie poszedł na marne. W głębi duszy wiem, że... chciałem cię ujrzeć jeszcze raz. Przybywając tu, wzmocniłeś to pragnienie i pozwoliłeś mi odzyskać część kontroli. Dzięki temu... mogę stać się czymś mniej wrogim. Mniej niedostępnym.

– Kocham cię – wyszeptał Tarris.

– Ja ciebie też – odrzekł mag. – Stanę się dla ciebie piękną górą.

I z czasem istotnie się nią stał. Na jego zboczach rósł las o srebrzystych liściach połyskujących niczym miecze, poprzetykany wielkimi skupiskami barwnych kryształów, szczyt zaś pokryły krzewy róż. Dekady później kapitan Tarris, dożywszy swych dni, po raz ostatni wspiał się na górę Venot, by spocząć obok ukochanego.

# W dół

Marta Magdalena Lasik

---

Prawa natury są jak ścieżki w lesie, którymi wszystko musi podążać.

Szła.

Drzewa na stokach doliny przesłaniały widok na płynącą w dole rzekę, ale słyszała huk spadającej wody. Chwilami był tak głośny, że zagłuszał śpiew ptaków i chrzęst piasku pod jej stopami. Sprawiał, że raz po raz wstrząsał nią dreszcz i odwracała się, aby spojrzeć w dół stromej ścieżki, na której końcu znajdowało się miasto. Małe, nawet ładne, a nie jak wielkie metropolie o wąskich ulicach gęsto obsadzonych wieżowcami tak wysokimi, jakby naprawdę sięgały nieba – jakby to niebo miało jasno określoną granicę. O tu sfera ludzi, zwierząt i duchów, tu niebo, a tu kosmos. Troposfera, stratosfera, mezosfera, termosfera – znała nazwy i definicje, ale gdy stała na ścieżce pomiędzy stromo wznoszącymi się zboczami gór, nie miały one znaczenia.

Wróć.

Nigdy go nie miały.

Były wymysłem ludzi.

Spojrzała w górę. Nie ponad korony drzew, w niebo, gdzie za termosferą znajdował się pierścień opasający Ziemię – cud nauki i inżynierii, który raz na zawsze miał zaspokoić ludzki głód energii i pozwolić cywilizacji ostatecznie zapanować nad światem wokół niej, a zamiast tego przyniósł ciemność, szaleństwo i apokalipsę. Nie, patrzyła tam, gdzie droga znikwała pomiędzy drzewami. Szlak wznosił się łagodnie i wspinaczka nim byłaby prostsza, ale ona w głębi siebie wiedziała, że musi zejść z drogi wytyczonej przez ludzi i wrócić na

tę, którą stworzyła sama. Bo ludzie z miasteczka w dole, jego mieszkańcy i goście pięknych pensjonatów, nie mieli już przyszłości i przerażeni czekali na koniec, a ona wracała do domu.

Pozwoliła fali bólu przetoczyć się przez nią i dopiero wtedy zeszła na szlak, którym żaden człowiek nie powinien się wspinać. Na szlak, który nie był szlakiem. Zakazaną drogę, która kusila nieuwważnych – koryto wyschniętego górskiego potoku. Jej koryto, które zapraszało wielkimi, stabilnymi kamieniami.

Stawiane kroki przypominały, jak bardzo wbrew naturze jest każda sekunda jej istnienia. Nie tylko gdy wspinała się korytem, ale każdego innego dnia, który spędziła pośród ludzi. W górę, ciągle w górę – to było męczarnią. Początkowo myślała, że przywyknie. Ciekawość pozwalała jej oszukiwać samą siebie, lecz mijały lata, dekady, stulecia i choć wiedziała coraz więcej, to każdy krok bolał tak samo. I to nie był ludzki ból stawu czy mięśnia. On nie miał źródła i nie dawał uciszyć tabletką. Przypominał mróz w najzimniejszą z zim, próbujący skuć strumień aż do dna. Unieruchomić go.

Oparła się o drzewo, które kiedyś opływała z obu stron, i odetchnęła głęboko. Choć od wspinaczki ból przelewał się przez nią jak fala odbijająca się od ścian naczynia, to nie żałowała niczego. Odetchnęła, zrobiła kilka kroków, chwyciła dłonią kolejny pień, podciągnęła zmęczone ciało i stanęła ponownie, aby odpocząć.

Nim weszła na grzbiet, niebo na zachodzie zapłonęło złotą luną, w której blasku biały śnieg na szczytach nie wydawał się tak przeraźliwie zimny, za to cień w głębokich dolinach wyglądał straszniej niż w dzień. Nadchodziła noc. Nierozświetlona kolorowym blaskiem lampionów, mroczna, gęsta i pełna krzyku oraz łkania ludzi, którzy do niedawna nie wiedzieli, czym jest prawdziwa ciemność.

Z górskiego grzbietu widziała kolorowe płomienie anomalii pożerające pierścień. Z tak daleka wyglądały pięknie i niegroźnie – maleńkie tęczkowe ogniki pośród białych gwiazd – ale od kiedy rozbłysły, nic już nie było takie samo. Zatrzymały się maszyny, zgasły ekrany i światła, wyschła rzeka informacji. Jeszcze gdzieś działały pojedyncze lampy, zasilanie z baterii czy z ostatnich antycznych paneli, ale ich dni były policzone, a wraz z nimi policzone były dni cywilizacji, bo pierścień miał stać się odpowiedzią na wszystkie problemy – nie sprawcą globalnego blackoutu.

Nikt nie opracował planu awaryjnego i nie spisał go na starodawnym papierze, bo pierścień nie miał prawa zawieść. Nie aż tak. Nie spalając całą światową sieć elektroenergetyczną. Coś takiego nie mogło się zdarzyć.

A jednak...

Jej śmiech zabrzmiał jak szmer wody pomiędzy kamieniami. Spojrzała na drogę, którą przyszła, i poczuła szarpnięcie zewu, ale wiedziała, że jeszcze nie może rzucić się w dół. Zamiast tego obróciła się na palcach – piasek zazgrzytał pod jej butami – i teraz patrzyła ku rogatej górze w oddali. Była już blisko.

– Po co tu przyszłaś, zdrajczynie?!

Znieruchomiała – prawie. Była rzeką, potokiem, strumieniem, była wodą, nawet jeśli uwięzioną w formie ludzkiego ciała. Bezruch absolutny... Nie, nie potrafiła.

– By odnaleźć swoje źródło.

– Mówiłem ci, nie ma powrotu.

Stała na ścieżce okalającej łagodny szczyt, a niedźwiedź-strażnik patrzył na nią z góry. Widziała jak promienie zachodzącego słońca złocą się na jego futrze, jak w ich blasku lśnią jego oczy. Tak. Ostrzegał ją, groził i straszył, że gdy raz spłynie na dno doliny i przybierze ludzką formę, to już nigdy nie będzie mogła wrócić na zbocza i popłynąć w dół. A mimo tego zrobiła to – była ciekawa jak woda wciskająca się w szczeliny, wściekła jak kaskada spadająca z wysoka i cierpliwa jak prąd przez wieki żłobiący kamień.

– To ty tak mówisz – odpowiedziała. – Przekonam się sama. Nie możesz mnie powstrzymać.

Strażnik ryknął. Echo poniosło się pomiędzy zboczami Kaukazu, sięgnęło dna doliny, wstrząsnęło już i tak przerażonymi mieszkańcami miasteczka.

– Zdradziłaś nas dla ludzi.

– Poszłam między nich, ale nie zdradziłam.

– Mieszkałaś z nimi.

– Tak.

– Zachowywałaś się jak oni.

– Tak.

– Zdradziłaś.

– Nie.

Wbrew naturze spłynęła między ludzi i przybrała ich formę, ale nie zdradziła. Nieśmiertelna poznawała ich zwyczaje, historię, kulturę oraz naukę. Na tej ostatniej strwoniła całe dziesięciolecie.

– Uczyłam się, jak opisują świat wokół siebie. Od em fał kwadrat przez dwa kwadrat przez dwa po równania opisujące kształt studni grawitacyjnej słońca. Od teorii podprze-

strzeni, po konstrukcję ostrza, które miało wgryźć się w nią i zapewnić cywilizacji energię, by mogła okiełznać żywioły i spełniać swoje marzenia.

Niedźwiedź-strażnik prychnął, ale nawet nie na niego spojrziała. Patrzyła na widoczny ponad szczytami pierścieni. Im – jej, niedźwiedziowi, innym rzekom, lasom, górom – on nie zagrażał. Nie potrzebowali go, ale ludzie...

– Chodziłam na wykłady. Zmieniałam twarz, aby nie wiedzieli, że to ciągle ja jedna i pracowałam w kolejnych zespołach. Starzałam się i robiłam miejsce przyszłej sobie. Służyłam radą, rozwiązywałam problemy, ale nie byłam człowiekiem. Ich cel nie był moim celem, ale oni o tym nie wiedzieli.

– Zniszczyłaś go...

W głosie niedźwiedzia usłyszała strach.

– Tak, zniszczyłam pierścieni. Sabotowałam go, od kiedy pojawił się pomysł, aby w ogóle powstał. Byłam ekspertką od stojącej za nim teorii. Kolejna ja stała się autorytetem, gdy go projektowano. Ukryłam w konstrukcji pierścienia błędy. Nie jeden, nie dwa, a setki małych niepozornych błędów. Część znaleźli, poprawili, ale niektóre pozostały. To trwało dziesięciolecia, ale ja byłam cierpliwa... jak rzeka. – Roześmiała się. – Bo może utkałam sobie to podobne ludzkiemu ciało i istniałam między nimi, ale nigdy nas nie zdradziłam. Byłam i jestem rzeką. A teraz, gdy moja zemsta na ludziach płonie na niebie, wróciłam i nie możesz zmusić mnie do powrotu w dolinę.

Czuła, że boi się tego, czym teraz była. Rzeka, gdy wściekła, powinna zalewać, porwać z prądem mosty i wdzierać się do domów, a nie obracać ludzkie wynalazki przeciwko nim. To czego się dopuściła, było wbrew prawom natury.

Zrobiła pierwszy krok, a potem kolejny i następny, a niedźwiedź-strażnik tych gór milczał.

Źródło wyschło, koryto wypełniła ziemia i zarosła trawa. Rzeka ledwie zdołała je odnaleźć. Smutny śmiech wstrząsnął nią, bo może powinna była się tego spodziewać. Widziała, jak wulkany formują nowy ład, a sztormy zmieniają brzegi mórz i oceanów. Patrzyła jak inne rzeki, o wiele większe niż ona kiedykolwiek była, wytyczają sobie nowe koryta, żłobią skałę, aż ta z hukiem wpada w ich rwący nurt. Zmiana była jedyną niezmienną częścią świata, więc rzeka mogła się spodziewać, że dotknie ona też tego miejsca. Choć ból przenikał jej ciało, kucnęła i dotknęła ziemi, ale nie poczuła w niej siebie. To już nie był jej dom.

Wstała powoli i w coraz mniej ludzki sposób ruszyła przez trawę. Każdy jej krok coraz bardziej przypominał przelewanie się wody, ale choć niczego nie pragnęła tak bardzo, jak popłynąć w dół, to nie była w stanie tego zrobić. Szła więc nieistniejącym szlakiem pośród traw, drogą, którą wytyczała sobie sama, aż w końcu przegrała z bólem – tym mrozącym ciało i tym przyuczajonym w jej myślach.

Poddała się.

Usiadła w zagłębieniu i pierwszy raz od dziesięcioleci pozwoliła, aby gniew i żal spłynęły z niej, a wraz z nimi spłynęło więzienie ludzkiego ciała.

Patrzyła, jak płonie pierścień, choć jej oczy już nie istniały. Uszami, których już nie miała, nasłuchiwała agonalnego krzyku cywilizacji, przez stulecia powoli niszczącej jej świat. Niezdefiniowanymi dłońmi, badała ziemię i skałę pod sobą. Rozlewała się w uczuciu spokoju.

Nie była już rzeką, ale wciąż istniała.

Niedźwiedź-strażnik stanął na skraju jeziora, w którym przeglądało się rozgwieżdżone niebo.

– Mówiłem ci, że nie ma powrotu, gdy raz wejdiesz na zakazany szlak.

Choć noc była bezwietrzna, to tafla wody zafalowała w śmiechu – jezioro niczego nie żałowało. Na dnie znalazło szczelinę. Drążyło ją powoli, ciekawe, co znajdzie głębiej i teraz tylko to miało dla niego znaczenie.

Antologia „Zakazane szlaki”  
to projekt charytatywny.

Jeśli uważasz, że to fajna inicjatywa,  
prosimy, zagłęb się na stronę inicjatywy  
**Bezpieczny Kazbek**  
i przekaż na jej rzecz dobrowolną darowiznę:

[www.bezpiecznykazbek.org](http://www.bezpiecznykazbek.org)

Mamy nadzieję, że ten e-book  
jest dla Ciebie wart więcej niż dychę ;-)  
W końcu za obiad z dostawą do domu,  
płacisz więcej, prawda? :-)

[www.ZapomnianeSny.pl](http://www.ZapomnianeSny.pl)

Psst,

możesz zrecenzować naszą antologię na portalach

LubimyCzytac.pl lub GoodReads.com :-)

## **Zakazane szlaki**

to tom 6 serii

# **Zapomniane Sny**

Zamierzamy zachęcać was do wspierania różnych NGO,  
zajmujących się różnymi tematami.

**ŚLEDŹCIE NAS!**

[www.ZapomnianeSny.pl](http://www.ZapomnianeSny.pl)

[fb.com/ZapomnianeSny](https://fb.com/ZapomnianeSny)

[instagram.com/ZapomnianeSnyPL](https://instagram.com/ZapomnianeSnyPL)



**Do tej pory opublikowaliśmy zbiory:**

W głębi snów

Granice Nieskończoności

Interwencja informatyka

Tu był las

Obcość

Zakazane szlaki

**Mamy też serię komiksową :)**

Gdzieś pod powierzchnią

Seria komiksowa posiada wersję graficzną  
oraz audiodeskrypcję dla osób niewidomych

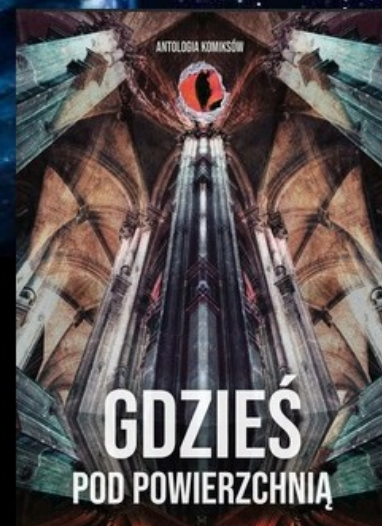
**Więcej informacji na stronie projektu:**

[www.ZapomnianeSny.pl](http://www.ZapomnianeSny.pl)

# ZAPOMNIANE SNY

Fantastyka błyskawiczna  
[www.ZapomnianeSny.pl](http://www.ZapomnianeSny.pl)

Darmowe/charytatywne  
antologie opowiadań



Czytaj i zmieniaj świat na lepsze.

[www.ZapomnianeSny.pl](http://www.ZapomnianeSny.pl)  
[fb.com/ZapomnianeSny](https://fb.com/ZapomnianeSny)